

W i e s i

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 26 maja 1946 r.

Nr 20 (48)

ANNA WOLSKA

Z pamiętnika wiejskiej lekarki

10 lutego 19...

Józia Dzekonińska to na prawdę wspaniały typ wiejskiej dziewczyny. Nie powiem, żeby była ładna. Jest za duża, ma duże ręce i nogi, grube rysy. Ale ma w sobie dziwną świeżość, zdrowie i moc. Rusza się żywo, wszystko wydaje się jej łatwe. Mam z niej wielką pomoc w mojej pracy. Nie tylko doskonale sprząta pokoje do przyjmowania chorych, ale pomaga przy badaniu — trzyma wydzierające się z rąk dzieci, podaje potrzebne przedmioty przy zabiegach chirurgicznych. Wczoraj przeszło godzinę pomagała mi robić sztuczne oddychanie Frankowi. To był ciężki ranek.

Obudzili mnie wiadomością, że zaczął działać Franek, chłopak przy dworskiej stajni. Napalił sobie w piecyku w swojej komórcie, zasnął szyber i położył się spać razem ze swoim ulubionym pieskiem.

Jest jedynym i ukochanym synem wdowy, ponurej i smutnej kobiety, która nigdy się nie uśmiecha.

Zdziwiona, że tak długo nie przychodzi na śniadanie, zaszła matka po niego sama. Długo od komórek były zamknięte, chłopak leżał na ziemi o parę kroków od swego postania — z pianą na ustach. Obok leżał martwy piesek.

Straszny krzyk Janowej zwołał ludzi. Wyniesiono chłopca na podwórze przed stajnię — „lał się przez ręce”.

— Już po nim — zdecydował stary Maciej — zaczął biedaczyna. Nie warto budzić panią doktorową.

— Obudzim, obudzim — zaprotestowała energicznie Józia. — Moja pani doktorowa jeszcze jaki lek dla niego wynajdzie.

Ułożyliśmy go na sianie. Zaczęłam od sztucznego oddechu, zastrzykując co kwadrans leki podniecające i nasercowe.

Zebrał się tłum bab, co mnie gniewało, ale nie miałam siły ich rozpedzić.

— Niech się pani tak nie męczy — mówiły. Nic z/niego już nie będzie.

Janowa stała obok blada, z zacisniętymi ustami. Widziała, że nie zaprzestają ratunku i nie mówiła nic.

Wreszcie po długich trudach Franek zaczął równo oddychać, otworzył na chwilę oczy i szepnął parę niezrozumiałych słów w kierunku matki, której obecność przy sobie jakby przeczuwał.

W jej oczach błysnęły łzy — wyciągnęła ręce do swego uratowanego dziecka — nie miała siły wymówić ani słowa.

Kazałam go przenieść do domu, posłałam mu kubek mocnej, gorącej kawy i sama poszłam na śniadanie.

Uratowany! Co za cudowna chwila.

— To jest prawdziwe szczęście — myślałam — móc uratować ginącego człowieka. Nie żał lat studiów, ani wszystkich niepowodzeń, które błędą i gasną w świetle tej jedynej, największej radości.

13 lutego 19...

Wczoraj całą niedzielę spędziłam w Łomży u Ady, tak jak jej to dawno obiecywałam. Rano byliśmy na Mszy u Fary. Lubię ten stary kościół i modliłam się długo i dobrze. Po południu było kino. Jakaś komedia amerykańska — zabawna, ale dosyć niemądra.

Ada ma wcale niezłą praktykę, ładne mieszkanie. Urządziła się, kupiła nowe meble. Ale pod koniec dnia, przyglądając się jej życiu, pomyślałam sobie, że jej wcale

nie zazdroszczę. Mierzi mnie ta drobno-mieszcząńska atmosfera prowincjonalnego miasta. A ona nie rozumie zupełnie, że jestem zadowolona ze swego życia na wsi.

— No: wiosna, lato, wczesna jesień — to rozumiem, mówiła, ale listopad: błoto, ciemność od 3-ciej po południu — nie, tego chyba bym nie wytrzymała.

— Aduś, zabawna jesteś — odpowiadam — na ciemność mam w domu doskonałą lampę, a na dworze świetną latarkę elektryczną. A na błoto — czy widziałeś moje buty z cholewami? Wyglądam w nich jak amazonka i w ogóle czuję się jak królowa.

Z tej „królowej” śmiałyśmy się długo i serdecznie.

16 lutego 19...

Dziś Józia przyszła palić w piecu z zapłakanyimi oczyma.

— Dziewczyno, co ci jest? — pytam. Nie chciała mówić z początku, ale przyparta do muru, przyznała się.

Jest córką furmana browarnego, obciążonego liczną rodziną — należy więc do proletariatu wiejskiego. A zakochała się w gospodarskim synu jedynym z najbogatszych we wsi. On kocha ją także i dał na zapowiedzi. Rodzina chłopaka, oburzona i niezadowolona, wyraża głośno swój sprzeciw i usiłuje przeszkodzić małżeństwu.

— Ale Oleś powiedział — mówi Józia przez łzy — że wszystko jedno ożeni się i przyjdzie do nas. Nie będę ciebie, powiada, do ojców brać, bo ci żyć nie dadzą. I płakał, jak to mówił. O ja nieszczęśliwa!

— Nie Józio, nie jesteś nieszczęśliwa, kiedy się tak kochacie, próbuj ją pocieszyć. Oleś — to najlepszy chłopak we wsi. Będzie wam dobrze razem, a potem jego rodzina pozna się na tobie, że jesteś zająca, pracowita, zdolna. Mało tu dziewcząt, które mogłyby równać się z tobą.

Józia porwała nowa fala łez, tym razem ze wzruszenia. Chwyta mnie za obie ręce i długo je całuje.

3 marca 19...

Długo nie pisałam pamiętnika. Przeżywałam tragedię mojej biednej Józii. Dziś jeszcze serce mi się ścisza z bólu, kiedy o niej pomyślę.

Rodzina Olesia wreszcie pogodziła się z myślą o jego małżeństwie, według jej pojęć niefortunnym. Odbył się ślub i wesele. Dzień był mroźny i śnieżny. Nazajutrz po weselu, po przetańczonych nocy, Oleś pragnął wyręczyć świeżo nabytego teścia, na którego przypadał kolej przywiezienia drzewa z lasu dla pracowników browaru i wybrał się po nie saniami. Ale niewyczasowany chłopak odurzony świeżym powietrzem, usnął na furze chrustu i zsunął się z sań na ziemię. Musiał spać pod konie, dostał ostrym haccelem z końskiego kopyta w głowę i — został z krwawą raną na śniegu.

Znaleziono go dopiero po godzinie, kiedy same konie wróciły do browaru. Przewieźli go do mieszkania rodziców na drugi koniec wsi.

Pojechałam tam sankami. — Już jak podjeżdżałam, dochodził mych uszu szmer jakby wzburzonego morza, to tłum ludzi, zebranych w dużej izbie naokoło łóżka, gdzie leżał Oleś — szmerzał z uczucia grozy i współczucia.

Na moje spotkanie wybiegło paru starszych gospodarzy: O, już po nim — mówili.

Weszłam do izby, przeciskając się przez nagromadzony w niej tłum.

Na łóżku pod ścianą leżał Oleś blady, piękny jakby wykuty z marmuru. Na skroni widniała niewielka rana z odrobiną przyschniętej krwi. U stóp jego klęczała Józia. Zasłoniwszy rękami oczy zawodziła głośno.

— Oleś, Oleś — wołała biedna dziewczyna, jeszcze się wesele nie skończyło...

Przyłożyłam słuchawkę do piersi chłopca, szukając skwapliwie choćby drobnych oznak życia. Naprawdę! Uderzenie kopytem było celne.

Oleś nie żył. Położyłam na stole strzykawkę, napełnioną kamforą. Była już na nic.

— Józio, powiedziałaś cicho, przygarbiając do siebie dziewczynę, stało się wielkie nieszczęście. Nie wołaj go, nie usłyszysz. Nie żyje, moje biedne dziecko.

— Ale — to lekarstwo — ja proszę, ja bardzo proszę, niech pani doktorowa mu zrobi ten zastrzyk — błagała Józia, chwytając mnie za ręce. — A nuż, a może? Może da Pan Bóg i Panienska Najświętsza...

Nie mogłam jej odmówić i zastrzyknęłam kamforę biednemu martwemu Olesiovi.

W tydzień potem Józia przyszła do mnie. Była smutna, ale spokojna.

— Przyszłam panią doktorową pożegnać — powiedziała. — Jadę do Ameryki. Mam tam brata i dwie siostry cioteczne. Dobrze im się powodzi. Już dawno mnie namawiali, żeby przyjechać. I szykarkę przysłali. Cóż tutaj robić? Nie ma tu już miejsca dla mnie. I gdzie się obrócić wszędzie Oleś za mną chodzi — blady z tą czerwona raną na głowie. Już dwa razy na mszę św. dawałam i nic nie pomaga. Widać tętko mu za mną. A ja — to już... Wytarła oczy ręką, pożegnała mnie serdecznie i wyszła.

2 kwietnia 19...

Wczoraj miałam ciężki przypadek. Wezwano mnie do chorego, dwudziestokilkuletniego mężczyzny, którego jedyną skargą były silne, niczem nie pokrócone bóle głowy. Leżał choć nie czuł się słaby i był zupełnie niezdolny do pracy. Koło niego uwijała się drobna, o blond włosach kobiecina — żona — miała poczuła mną i niezdolny do słuchania piskliwy głos. Było to małżeństwo zaledwie paroletnie i dotąd bezdzietne.

Badanie dało wynik beznadziejny: guz w mózgu. Chory miał poza tym początkującą gruźlicę płuc, więc należało przypuszczać, że guz był pochodzenia gruźliczego, a więc nawet najśmielsza operacja nie mogłaby uratować mu życia. Był skazany. Jedynym moim zadaniem było wynaleźć lek, któryby ukoił jego straszliwe cierpienia.

Niedługo będzie mógł stracić przytomność — myślałam — trzeba uprzedzić żonę. Jak to zrobić? To tak trudno powiedzieć kobiecie: Nie ma ratunku, mąż twój musi umrzeć.

Myśl ta gnębiła mnie długo. Ale wreszcie zdobyłam się na odwagę i wywołałam ją do sieni. Zdawało mi się, że muszę zdać egzamin, jakiś bardzo trudny egzamin. Wyjaśniałam wreszcie całą prawdę, starając się ją ubrać w możliwie łagodne słowa. Jakież było moje zdumienie, kiedy jasnowłosa kobietka zaświergotała do mnie w odpowiedzi: — A to właśnie ja sama miałam spytać pani doktorowej, czy

to się jeszcze warto starać o niego, czy już nie?

Masz sobie! Zdaje się, że zrobiłam niedźwiedzią przysługę memu biednemu choremu. Przeszanie się o niego „starać”!

Nie, już nie będę nigdy uprzedzała. Będę zostawiała zawsze trochę nadziei, nawet tam, gdzie jest jej najoczywistszy brak.

12 kwietnia 19...

Rano byłam u ciężko chorej Gontarskiej. Pojechałam bryczką. Wracając minęłam księdza proboszcza jadącego swoją bryczką. Przywitaliśmy się znacząco — on także jechał do mojej chorej, żeby jej przynieść ostatnią pociechę. — Jesteśmy koledzy — powiedział kiedyś żartobliwie do mnie w podobnej sytuacji. — Ale ksiądz proboszcz ma weselszą pracę od mojej — żartowałam w odpowiedzi. Bo to i śluby i chrzty. A u mnie tylko samo cierpienie. Komu dobrze, ten wcale mnie nie potrzebuje i nie wzywa.

Zacny nasz ksiądz proboszcz. Jest synem chłopca i poszedł na księdza, bo „ojcowie” tak urządzili, kiedy był jeszcze małym chłopcem. — A bo ja wiem, czy to wzywa się powołanie — mówił kiedyś. Nie myślałam o niczym innym, nie widziałem nic, coby mnie pociągnęło w innym kierunku.

Jest dobrym księdzem — szczerze pobożny, łagodny, bezinteresowny. Kiedy jest okazja do zrobienia dobrego uczynku, nie cofa się przed nim nigdy. Podczas poprzedniej wojny wziął do siebie na plebanię czworo sierot i chował je przez dłuższy czas. Nie brakło przy tym wydarzeń komicznych. Na gwiazdkę ksiądz proboszcz sprowadził dla malców wielką choinkę, przywiózł z Łomży ozdoby choinkowe, pierniki i cukierki do zawieszania na drzewku. Panna Kasia — stara panna i długoletnia księża gospodyni, zajęła się ozdabianiem choinki, proboszcz spacerował po pokoju, co jest jego zwyczajem, i robił swoje uwagi.

— Ale Kasiu — Kasiu — Kasiu — mówił szybko, nerwowo, jak zawsze — te cukierki, pierniczki wysoko wieszają, wysoko, żeby nie dosięgli. Bo to zaraz poobrywają, pojedzą, pochorują się i co z tem robić?

23 kwietnia 19...

Rzeczywiście, że moja praca ma coś wspólnego z pracą księdza. Stajemy wobec cierpiącego człowieka — bez osłonek — staje się on wobec nas szczerzy, skłonny do zwierzeń. Czasami mój mały gabinet lekarski zamienia się w konfesjonał. I dziś było coś podobnego. Przyszła do mnie młoda kobieta z sześciolatnim synkiem. Jest nie tutejsza, przyjechała z Warszawy, żeby spędzić parę tygodni u krewnych na wsi. Chodziło jej głównie o dziecko, blade, mizerne, z dużą główką i bezmyślnym wyrazem w oczach. Chciała się poradzić, bo niepokoił ją wygląd chłopca, który zresztą nie skarżył się na nic.

— Czy on aby normalny, proszę pani? — zapytała z niepokojem.

— Czy pani pyta o jego rozwój umysłowy? — zapytałam. Dlaczego miałby być nienormalny?

— A bo taki podobny do ojca.

— A ojciec?

— Ach, proszę pani doktor...

Odwraca się na chwilę i widzę, że po jej policzkach płyną łzy.

— Widzę już, że muszę pani doktor wszystko opowiedzieć. Pani doktor tak się człowiekiem interesuje. To nie wszyscy doktorzy tak. Najczęściej to tak przeciętno załatwiają i zaraz drugiemu choremu miejsca trzeba ustąpić.

— Ja się nie śpieszę, może mi pani opowiedzieć to, co pani chce.

— To ja zacznę od początku. Byłam sierotą i wychowywałam się w prywatnym przytułku w Wilnie, gdzie dzieciom było bardzo dobrze. Wszystkiemu mieli, jak potrzeba i uczyliśmy się, a potem starsze dzieci to już musiały fach jakiś sobie obrać i tego fachu ich uczyli. Ja miałam być chemizarką. No i nauczyłam się tego dobrze. Dziś to naprawdę mogę powiedzieć, że ten fach to znam doskonale. Miałam szesnaście lat, kiedy wyszłam z przytułku na posadę — do chemicznej pralni w Wilnie. Właścicielka pralni była dobrą kobietą, dbała o mnie, jak o własne dziecko. Widziała, że się staram, jak mogę i nieraz chwaliła za pracę. I tak było prawie cały rok. A potem skończyło się wszystko bardzo nieszczęśliwie. Wrócił z wojny jej brat mularz. Był kontuzjowany na wojnie, słaby i nerwowy. Miał dobrze po trzydziestce, ale mnie młodej wydawał się stary, a taki brzydki i nudny, że nawet patrzeć w jego stronę nie miałam ochoty. Moja gospodyni miała z nim trochę kłopotu — musiała myśleć o nim, o jego potrzebach. Nie wiem czy z natury czy z choroby, ale leń był i niedorajda okropny. I niech sobie pani doktor wyobrazi, co tej mojej szefowej do głowy przyszło — żeby mnie z nim wyswatać! Myślała pewno, że ja robotę znam i jej się nie boję, to na dwoje zarobię, a ona kłopotu się zbędzie jak raz.

Kiedy pierwszy raz powiedziała mi o tym, ja w płacz odrazu.

— Nie pójdę za niego, nie chcę, mówię. Za żadne żywe skarby w świecie, bo mi się nie podoba i przekonania do niego nie mam.

Pani przestała już tego dnia mnie namawiać — widziała, że płaczę. Ale nazajutrz — znowu to samo. Myślała widać, że ja się do tej myśli przyzwyczailam. A ja za nic. To gniew ją porwał.

— Taka jesteś niewdzięczna — powiedziała do mnie — to ja cię jak swoje rodzone dziecko przygaręłam, ptasiego mleka chyba ci brakuje, a ty tak słuchasz mojej dobrej rady?

To niema już miejsca dla ciebie — idź sobie na cztery wiatry, gdzie tylko sama chcesz.

Plakałam długo po tych jej słowach. Strach mnie ogarnął na samą myśl o tem, że będę musiała opuścić ten dom, do którego się przyzwyczailam. I ten świat, gdzie sama iść miałam wydawał mi się straszny, objęty dla mnie, nawet zły. — Nie, nigdzie nie pójdę, nie mogę, boję się.

I wyszłam za tego jej brata...

A teraz muszę sama pracować na nas dwoje i na to dziecko — spojrzęła z troską na swego bladego synka.

Uspokoiliam ją, że jest umysłowo w porządku, tylko wąży od urodzenia i chory na niedokrwiłość.

Potem długo mi stała w oczach postać tej młodej kobiety, zamurowanej w niefortunnym małżeństwie.

6 maja 19...

Dziś jestem pod ciężkim wrażeniem. Przypomniała mi się ta okropna historia z otruciem Wiśniewskich, która się tu działa przed półtora rokiem. Właśnie wybierałam się do Warszawy, który rano przybiegła Józia (wtedy jeszcze wesół, biedactwo) i od progu już wołała: Czy pani doktorawa aby zdąży dziś do tej Warszawy? Przyszli od Wiśniewskich prosić, bo cała rodzina się zatrula.

— Pewno znowu te grzyby! Niewiadomo co jedzą a potem chorują — zaczęłam gderać, mocno nierada, że wypadnie odłożyć upragniony wyjazd na parodniowy odpoczynek w Warszawie.

— Gdzie tam, proszę pani. Józia zbliżyła się do mnie i zaczęła mówić szeptem. — Nie grzyby. To Bielicki, ich szwagier, tak ich zatrul.

— Co ty mówisz? Skąd ty wiesz Józiu? Może powtarzasz jakąś obrzydliwą plotkę.

— Nie plotkę, nie. Ta kobieta co przyszła powiedzieć, sąsiadka Wiśniewskich, pani doktor ich nie zna, to mówi, że on dawno złość na nich miał, ciągle im to tem, to tem groził!

— A za cóż tak?

— A bo to on powiada, że na jego gruncie chałupę Wiśniewski postawił i do niego należeć powinna.

Jestem już ubrana, gotowa do wyjścia i niecierpliwi mnie rozwickle opowiadać Józia.

— Mów prędzej, bo muszę iść.

— Dużo nie wiem, proszę pani. Ale ta kobieta rozmawiała z Wiśniewską, i Wiśniewska mówiła, że wczoraj wieczór poszła do krowy, a dziewczynce swojej starszej nakazała, żeby wodę nastawiła na kluski, bo miały być na kolację. Zaraz potem przyszedł Bielicki.

— Co gotujesz? zapytał tej Olesi. — Ano mama kazała wodę na kluski. A potem Olesia mówiła do Wiśniewskiej: wuj wyspał jakiś proszek do tej wody. — Kluski były nie dobre, ale że głodni wszyscy byli, to se trochę podjedli. I Wiśniewscy i ich czworo dzieciaków. To kiele północy jak ich nie schwyć ponoś wymioty

i tak na obie strony zaczęło ich czyścić. I tak biedowali do rana. A Bielicki podobnie rano drzwi do nich roztworzył i zaptał się:

— Co, żyjeta jeszcze? Co za człowiek! — Pewno arsenik — myślę, chcąc odgadnąć, jaką truciznę mógł wyspać ten łotr Bielicki.

Znałam go z widzenia. Wyglądał okropnie, twarz ze śladami ospy, była jeszcze czemś kiedyś poparzona, bo szpeciła ją wstrętna blizna odciągająca ku dołowi dolną powiekę lewego oka.

— Taki może się przyznić — pomyślałam zobaczywszy go pierwszy raz.

Rodzina Wiśniewskich po parotygodniowej chorobie przyszła do siebie. „Truciciel” został zaareztowany, ale po tygodniu śledztwa wypuszczono go na wolność dla braku dowodów.

— Pan Bóg jest sprawiedliwy i sam karę na niego znajdzie — powiedziała Wiś-

niewska dowiedziawszy się, że Bielicki wrócił do domu.

I Pan Bóg jakby istotnie zesłał na niego najstraszniejszą z kar.

Dziś, wchodząc do swej poczekalni, zobaczyłam siedzącego wśród innych Bielickiego. Świecił swym krwawym okiem, raczej odwróconą dolną powieką. Wszedł do gabinetu po innych, był jakby onieśmiałony i spostrzegłam, że był blade i wychudzony bardzo. Zwróciłam na niego uwagę.

— A bo już trzy tygodnie jak nic przelknąć nie mogę, proszę pani doktorowej. O tu — wskazała na piersi stając mi i dalej iść nie chce.

Rozpoznanie było łatwe. Rak przyleku. Powiedziałam mu, że jest poważnie chory i że musi jechać do szpitala w Łomży. Westchnął ciężko, podziękował mi i odszedł. Może i on pomyślał, że go dostęga kara doczesna za zbrodnię?

Anna Wolska.

WŁADYSŁAW MILCZAREK

W I E R S Z E

Władysław Milczarek, ur. 14 grudnia 1914 roku w Szpanowie koło Równego na Wołyniu, debiutował jeszcze w 1934 r. tomikiem „Wieża Babel”. Jako następne jego książki ukazały się dwa zbiorki wierszy: „Liryzm Wołynia” (1938) i „Wołyński las” (1939).

Poezja Milczarka nie ma nic wspólnego z kierunkami nowatorskimi, które tak bujnie krzewiły się u nas w okresie międzywojennym. Pod względem formy wywodzi się ona z późnego okresu Młodej Polski, najdobitniej zaznaczają się u Milczarka wpływy Staffa i Kasprowicza z ostatniego okresu jego twórczości („Księga ubogich”, „Mój świat”). Jest to poezja bardzo osobista treściowo a stylizatorska pod względem formalnym, poezja utrwalająca przelotne nastroje, ciężące wyraźnie ku sielance i lirycznemu pamiętnikowi. Tematy czerpie poeta przeważnie z życia wsi i z motywów wiejskiego krajobrazu, ale nie ujawniając tendencji epickich (czysto liryczny jest nawet jego poemat „Syn Cieśli”). Sielisko-wiejskie motywy wykorzystuje poeta przeważnie jako kanwę, na której rozsuwa własne marzenia i wspomnienia. Stąd krajobrazy jego zawsze robią wrażenie pastelowych szkiców, liryczna mgła zacierza w nich wyraziście kontury, tendencja do wywołania nastroju góruje nad ambicją kreślenia wyraźnie zarysowanych obrazów.

Jest to przede wszystkim liryk-sielankopisarz, subtelny stylizator o skłonnościach do poetyckiej melancholii i nastrojowości. Stylizatorstwo Milczarka nie jest jednak naśladowaniem cudzych wzorów, jest ono przez autora podkreślone tonem lekkiej lirycznej ironii, subtelnym zaznaczeniem dystansu — jest to raczej ten jedyny rodzaj eksperymentarstwa i poetyckiej igraszki,



jaki możliwy jest dla poety wyrzekającego się zupełnie prób nowatorskich.

Talenty Milczarka jest jeszcze w fazie rozwoju i rozwoju, dlatego też trudno jeszcze znaleźć formułę określającą twórczość tego poety w sposób ostateczny. To, co dotychczas w poezji Milczarka jest osiągnięciem, nie stanowi granicy poetyckiego rozwoju tego pisarza. Jego próby z zakresu prozy nowelisticznej i publicystyki świadczą o stałym rozszerzaniu się kręgu tematów i zagadnień w twórczości Milczarka — a jest to dobra zapowiedź na przyszłość.

Dzieciństwo

Las, łąka i rzeka, słońce, powietrze i woda,
w oczach niebiesko, niebiesko, a w głowie zielona młodość.

Dzień jak miętowy cukierek — w zbożu szeroko jak w stepie,
wieczorem cudze wiśnie, bo smakowały najlepiej.

Strzelało się z łuku w niebo, kto wyżej, wprost do słońca,
i czas tak leciał jak strzała; godziny, dni, miesiące.

Na strychu mieszkał świat bajki i wielka tajemnica,
a dziś nie trafię tam — przepadły dzieciństwa mego klucze. —

Wyszumiał stary las dawnych dziecięcych marzeń,
nie szuka już tam sławy Indianin o bladej twarzy. —

Poszarzał świat i zmalął, najprostsze ścieżki pospłatał,
i dziś biedniejszy jestem o tamte młode lata.

Parów

Tu kiedyś umarła rzeka, ale to bardzo dawno,
a dziś, jak na mogile, wyrosły kwiaty i trawa.

Tu dawniej żyła rusalka, jak zwykle zwodnicza i piękna,
umarła podobno z miłości; tak mówi bajka — piosenka.

Błądzą tu także duchy pomordowanych jeleni,
szukając wodopoję, w tej rzece soczystej zieleni. —

Przychodzi tu czasem poeta, zaduma się, i w ciszy
odczuje to co minęło, a później wierszem opisze.

Powlecze dzisiejszy świat przeszłością odbiegłą daleko,
a cichy trawiasty parów napelni po brzegi rzeką. —

Wywabi duchy jeleni, wskrzesi liryczną rusalkę,
a wtedy każdy człowiek zrozumie banalną piosenkę

i w prostą bajkę uwierzy i w piękno zwyczajnych rzeczy
a w sobie odnajdzie Boga o zwykłym sercu człowieczym.

Zachód słońca

Seledyny, karminty i złoto
opryskają niebieską paletę;
teraz malarz pobiera kolory
i ułoży je w ramach wieczoru.

Horyzontem przekreśli słońce,
zwiąże niebo podeprze miesiącem
i ciężkimi kroplami mroku
będnie gasił słoneczne obłoki.

Sinym cieniem o ziemię uderzy
i pokroi ją w pasy jak nożem,
drzewa ostrym zaznaczy konturem
i wydłuzi je, dźwignię do góry.

Potem łąki szerokie i stawy
mgłą podpali, rozwłóczy sinawo
a w ostatnią iskierkę zachodu
chludnie wiadrem księżycą, jak wodą.

Południe

To jezioro słonecznej kąpieli
ogród ciepłem nabrzmiał soczycie —
to dostojna powaga niedzieli
odpoczynkiem osiadła na liściach. —

Zamyślenie, marzenie o niczem,
może pacierz bezsłowny do Boga,
może w słodkim zapachu koniczyn
zagubiła, zdrzemnęła się droga.

Kolysanki najcichsza melodia
mąci oko i rzęsy wydłuża,
pajęczyną osnuwa ogrody
i motylem osiadła na różach. —

Trzmiel pijany nasturcji kielichem,
zniebieszczala tęsknota przy studni —
ziemia ledwo oddycha, tak cicho,
a to tylko zwyczajne południe.

Poszukiwania

Oto od rana do nocy
błądzą wśród drzew i kwiatów,
aż mi nabrętkły oczy
gamą kolorów i światel.

Coraz piękniejsze barwy,
coraz to inne cienie
podnoszę oczami z ziemi
i czuję je na wargach.

I teraz już nie rozumiem
czem ja właśnie jestem;
tonem, półtonem w szumie
liści zerwanych, szelestem..

Czy krew tak szumi we mnie,
czy gęste sokli roślin,
czy w tajnym rytmie ziemi
zgbiliem się jak w włośnie.

Stuletni bór żywiczny
stukolorowa łąka,
a może step kosmiczny
oczy mi dziś obłąkał?

Oto od rana do nocy,
pomiędzy niebem a ziemią,
wibrują moje oczy,
a serce porasta zielenią. —

LUDWIK BANDURA

O treść szkoły chłopskiej

Rozumiem dobrze troski Kazimierza Budzyka, wyrażone w artykule „O chłopską szkołę” w Nr. 6 „Wsi”. Podniesienie kulturalne mas chłopskich jest dzisiaj powszechnym dążeniem, znalazło ono też swój wyraz w różnych zarządzeniach naszych władz oświatowych: znosi się szkoły powszechne najniższego stopnia organizacyjnego o jednym nauczycielu, zakłada się gęstą sieć szkół zbiorczych, zrównano program nauczania szkół wiejskich i miejskich. Zdajemy sobie jednak sprawę, że są to tylko ramy zewnętrzne, które należy wypełnić treścią żywą. O tę treść właśnie chodziło Budzykowi.

Twierdzi on, że wieś nie jest bezinteresowna, że jest wobec zjawisk życia nastawiona materialistycznie. Stwierdzenie to jest ważne, mieszczą się w nim bowiem pewne postulaty odnośnie do materiału nauczania, który dziecko chłopskie ma w szkole przerabiać. Chodzi więc o to, czy szkoła ma dać bezinteresowną wiedzę, czy też uczeń ma wyrobić sobie w szkole pewne umiejętności i sprawności, które mu się przydadzą w życiu chłopskim.

Doświadczenia minionego 20-lecia międzywojennego uczą nas pod tym względem niejednego. Mieliśmy szkoły wiejskie, które młodzież „wysferzały” i uczyły z pogardą patrzeć na życie wiejskie, jak to wykazują publikacje Chałasińskiego, oparte na bogatym materiale, mieliśmy też szkoły, które umiały dzieci związać ze środowiskiem, jak to wykazała praca Sjudaka w Turkowiczach i Rozwały, praca szkoły w Hołobach na Wołyniu, czy praca Solara.

Słuszną wydaje nam się tylko droga druga. Szkoła wiejska przy zachowaniu jednolitego programu ze szkołami miejskimi, winna nauczanie przepoić pewnymi elementami wiejskimi. W nauczaniu języka polskiego do głosu dojść winni pisarze chłopscy. Najstarszym z nich to Klemens Janicki, ciekawy przykład poety chłopskiego, który w okresie arystokratycznej kultury renesansu wzblił się na szczyty duchowe, a jednak przykład „wysferzenia się”. Uwzględnić by należało w szkołach wiejskich naszą satyrę polityczną 17-go i 18-go w., a przede wszystkim Staszycę. Program ministerialny wymienia Krasickiego „Pijaństwo”. Czy potrzebom dziecka wiejskiego nie odpowiadałyby bardziej wyjątki z „Pana Podstolego” lub Bogusławskiego „Krawców i górali”? Z pisarzy 19-go w. na szczególniejsze uwzględnienie zasługiwałaby Konopnicka. Wśród pisarzy 20-go w. można dokonać dużego wyboru, ale zapomnieć nie należałoby o pisarzach ludowych. Powinno się dać dzieciom do czytania fragmenty Magrysia, uwzględnić różnych pisarzy regionalnych, np. na Kaszubach Derdowskiego i Majkowskiego. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, aby w najbliższym czasie ukazały się jakaś antologia i wypisy pisarzy chłopskich, z których mogłyby korzystać szkoły wiejskie. Nie chodziłoby tu oczywiście o to, aby w szkołach wiejskich dać tylko przekrój zagadnień ludowych w literaturze. Nie, bo to zacieśniłoby horyzont duchowy chłopca, a szkołę wiejską zdegradowałoby do jakiejś szkoły stanowej. Jednak szkoła obok wartości ogólnonarodowych i ogólnoludzkich, winna dać uczniowi wizerunek chłopca w literaturze. Jest to z dwóch względów wskazane: 1) aby ujrzeć wkład własnej warstwy do skarbnicy ogólnonarodowej, 2) by nie rozwijać się jednostronnie na wzorach szlachecko-mieszczańskich, ale poznać też własne wartości i uczynić z nich element charakteru narodowego.

Podobnie historia nie może być tylko historią „narodu szlacheckiego”, ale w szerszej niż dotychczas mierze uwzględnić musi życie warstwy chłopskiej. W dotychczasowych podręcznikach historii chłop był przedstawiony jako siła bierna, nie twórcza, charakteryzował go brak kultury i niższość społeczna. Nauczanie takie musiało mieć ten skutek, że dziecko się życia chłopskiego wstydydziło. Wydobyć z historii warstwy chłopskiej elementów dynamicznych i twórczych, wykazanie jej wkładu dla dobra państwa, winno być jednym z naczelnych zadań szkoły chłopskiej.

W geografii na szczególniejsze uwzględnienie zasługiwałoby omówienie dokładniejsze krajów o kulturze chłopskiej,

zwłaszcza Danii i państw skandynawskich. Należałoby porównać gospodarke rolną u nas i tam.

Sądzę, że oparcie pracy szkoły wiejskiej o środowisko, uwzględnienie w nauczaniu elementów kultury i gospodarki chłopskiej jest możliwe bez naruszenia jednolitości programu dla szkół miejskich i wiejskich. Jestem przekonany, że tak pojęte nauczanie pozwoli dziecku odczuć potrzeby wsi, dążyć do ich zaspokojenia i związać dziecko uczuciowo z życiem wsi. Ale tak samo pożądaną jest, aby pewne elementy kultury chłopskiej przeniknęły do szkół miejskich i w dzieciach miejskich obudziły przekonanie, że są one częścią kultury ogólnonarodowej, a równocześnie budziły szacunek dla warstwy chłopskiej.

Niezależnie od tego formy pracy powinny dziecko wiązać z wsią, a więc różne organizacje szkolne mogłyby współpracować z otoczeniem nad zaspokojeniem potrzeb środowiska; spółdzielnia uczniowska zaspokoi potrzeby uczniów, ale równocześnie przygotowuje do zadań społecznych gromady; chór szkolny i kapela obudzą zamiłowanie do pieśni ludowej, ale równocześnie odegrać mogą swoją rolę na szerszym podłożu; ogródek szkolny da impulsy do doświadczeń hodowlanych; dbałość

ROMAN BRATNY

Literatura uspołeczniona

Lata wojenne w szeregu wielkich rewolucyjnych zmian przyniosły i takie, które najmniej hulaśliwie dały znać o sobie. Takie które dopiero trzeba zauważyć, mimo, że ich „październik” jest daleko za nami, mimo, że swym działaniem objęły naszą zbiorowość już w latach wojny. Do takich rewolucji zaliczamy zmiany w stosunku inteligenta do książki, ściślej do literatury pięknej.

Daleka od zrozumienia dziejącej się katastrofy, pozbawiona tresury socjologicznego myślenia polska świadomość kulturalna wraz z wojną przeżyła zasadniczy wstrząs. Wojna bowiem, zjawisko ostatecznie zrozumiałe w świetle gospodarczej i społecznej analizy współczesnej rzeczywistości kapitalistycznej, stawała się kosmicznym bezsenssem w obliczu kryteriów kultury. Wojna napierała zbyt szybko i bezwzględnie na jakże cienkie, okazało się, ściany „absolutnych” wartości kultury, dzielących ją od życia. Kultura nie dawała schronienia. Nie można było uciec, że istniejemy gdzieś indziej. Byliśmy na ziemi, na naszej ziemi, zagrożonej przez wroga.

Naogół inteligencja, dla której płaszczyzna walki narodowej jest jeszcze najłatwiej zrozumiała, umiała znaleźć swe miejsce na powszechnym froncie. Ale jakże bezbronna była jej myśl — to, z czego inteligent najbardziej był dumny. Ostatecznie nawet walcząc bojowo, pracował nie swoimi narzędziami, był wewnętrznie zawsze niepewny, strzał czy ucieczka nie zawsze stanowić mogły wystarczającą dlań odpowiedź na pytania wojny. Instynkt samozachowawczy wymagał wyjścia z niezrozumienia. Inteligent był niezrozumieniem zagrożony.

W latach konspiracji nasuwały się dziwne obserwacje. Nie dziwiły bardzo stonkowo duże nakłady tajnej prasy codziennej czy politycznej. Zrozumiała był głód wiadomości, od których zależały perspektywy życia lub śmierci. Ale ze zdumieniem patrzyłem, jak prędko rozchodziły się konspiracyjne nakłady książek, nawet poetyckich. Pozornie rzecz niezrozumiała — czemu nakłady takie, faktycznie incognito, bo pseudonimem nie mówić o osobie autora, nakłady za których czytanie groziły sankcje wiadome, czemu nakłady książek kilkakrotnie były rekordy przedwojenne?

Wytłomaczenie było jedno. To zaspokojenia szukała postawa poznawcza człowieka. Nic to, że dawano choćby liryki, uczuciowa przeważnie, niestety, kultura wewnętrzna inteligenta sprzyjała poszukiwaniu wyroków na rzeczywistość również ze strony liryki.

Postawa poznawcza, a więc już nie poszukiwania rozrywki, nie zaspokajanie

o estetykę wnętrza i otoczenia szkolnego może dać podjętą na zewnątrz i przyczynić się do zmiany wyglądu wsi.

Rezultaty nauczania szkolnego pozostaną jednak nikłe, jeśli szkoła wiejska pozostanie tylko ogniskiem oświatowym, a nie przekształci się w ogniwo, jak to propaguje Helena Radlińska. Obok szkoły inne czynniki muszą promieniować i dopiero przy współpracy z nimi szkoła chłopska spełni swoje zadanie. Musi się na wsi znaleźć biblioteka, świetlica, radio, gazeta, organizacja młodzieżowa itp. Powinny zaglądnąć na wieś zespoły teatralne, kino wędrowne, wędrowne wystawy sztuk plastycznych. W Ameryce istnieją np. specjalne kolejowe wagony wystawowe, które z odpowiednimi eksponatami odstawia się na bocznicach, by ludność najdalszych zakątków kraju pozostała w kontakcie ze sztukami plastycznymi.

Tak jest już dziś na wsi duńskiej. Wieśniak duński dumny jest ze swego pochodzenia. Ale bo też każdy z nich ma w domu we własnej biblioteczce „Quo vadis” Sienkiewicza. Sławni aktorzy filmowi Pat i Patachion byli chłopami, pracowali na roli, a do miasta przędzili się tylko wtedy, gdy wytwórnia filmowa zaangażowała ich do nakręcenia filmu.

kompleksu egotyki gnało do czytania literatury pięknej. Mamy tu do czynienia z genozą objawu, którego nasilenie konstatuje dziś Julian Przyboś w artykule o Mickiewiczu (Odrodzenie Nr. 52): „dzisiaj wymagamy od romansopisarza niesłychanie wiele, nie zajmują nas dzieje kochanków, ani osobiste perypetie powieściowych ludzi, nie nasyci naszego głodu skrzętnie gromadzenie realiów, żądamy więcej. Demonstracji na zgrupowanych przykładach też określonej filozofii kultury; nie wystarczy zgodne z doświadczeniem a kompozycyjnie wymowne zgrupowanie zdarzeń, chodzi o ukazanie ich sensu obiektywnego. Czy rosnąca ciągle wysokość wymagań nie zahamuje rozwoju romansu na rzecz esaju, rozprawy, literatury pamiętnikarskiej i dokumentarnej”.

Dopiero dziś, dopiero po takich perypetiach, polski czytelnik inteligentki dochodzi w swych zainteresowaniach literaturą piękną do szukania w niej zaspokojenia swych potrzeb poznawczych. Czy i jaki pisarz tym „nowym” wymogom u nas sprosta? „Nowym u nas” — tak, bo Rosja miała swój socjalistyczny realizm a i w Polsce nie od dziś i nie od wczoraj datuje się dobitne zamówienie społeczne na taką literaturę. Dopiero dziś czy wczoraj natomiast podpisał się pod nim inteligent i dlatego to zamówienie zostało spostrzeżone.

Aleć, u licha, chłop zawsze podchodził do literatury w ten sposób, właśnie od strony jej wartości poznawczej. Chłop zawsze przez książkę usiłował odczytać rzeczywistość.

Podaję tu kilku autorów, czy książek, według mojej obserwacji przez wieś czytanych: Sienkiewicz (Trylogia), Orkan, Morcinek, Orzeszkowa, Górska. Chłop czyta i ceni książkę od strony problemu, czy obrazu socjologicznego, jaki w niej znajduje. Rzadko trafimy na inne pozycje. Chłop nie przepada za konstatającym naturalizmem, chłopca mniej interesuje wieś, jako grupa o swoistym stylu życia, a więc jako środowisko decydujące w historycznych przemianach. Więcej niż Reymonta, „chłopi” czytają „Placówkę” Prusa i „Zorany ugor” — Szolochowa. Jeśli wieś zna Żeromskiego, to z „Syzyfowych prac”.

Wieś czyta pisarzy społecznych. Interesuje się światem, nie sobą. Zainteresowanie miastem potęguje zawsze żywy kompleks egotyizmu, zainteresowanie własną formacją społeczną występuje tylko w układzie literackim, pozwalającym na samouswiadomienie jakiegoś problemu własnego środowiska. Cały balast obyczajowy, obciążający literaturę „chłopską”, jest dla chłopca zupełnie bezbarwny, nieciekawym

Jeśli szkoła wiejska ma spełnić swoje zadanie, należy jej dać dobrego nauczyciela, który będzie umiał nauczać i wychowanie przepoić żywą treścią i stworzyć właściwą atmosferę pracy. Nie dokona tego nauczyciel, który będzie uważał, że robi z siebie ofiarę, a pobyt na wsi uznawać będzie za degradację lub karne przeniesienie. Nauczyciel na wsi winien być zrosnięty ze środowiskiem pracy, musi odczuwać potrzeby wsi i mieć ambicję odegrania w tym środowisku twórczej roli, nie może stać na uboczu, ale musi się stać aktywnym członkiem gromady wiejskiej. Nie może to być człowiek, któremu jest obce środowisko wiejskie, który wierzy lub udaje, że się zniża do poziomu życia wiejskiego. Rekrutacja nowych sił do zawodu nauczycielskiego winna się w głównej mierze opierać o masy chłopskie. Młoda inteligencja chłopska jest najbardziej powołana do pracy dla dzwignięcia kulturalnego wsi. Aby jednak ten aktywny chłopski nie zmanieryzował się w szkołach, a raczej pogłębił swoje wartości, konieczne jest, by zakłady kształcenia nauczycieli w swych programach uwzględnili również problematykę wsi, głównie zagadnienia z socjologii wsi.

Na tym tle bardzo naiwnie wyglądają poglądy większości inteligencji o zadaniach „konserwatywnej” kultury wiejskiej. Nic nie wskazuje, by chłop dał się skłonić do zachowania prymitywów w swej kulturze obyczajowej, jeśli równoległe kultura gospodarcza i społeczna wsi doczeka się w naszym pokoleniu niezbędnych a rewolucyjnych zmian. Pojęcie kultury wiejskiej, izolowanej od spraw artystyczno-obyczajowych, nie da się zresztą utrzymać. Praca nowymi narzędziami wysokiej kultury gospodarczej, w nowego typu administracji, przy nowym typie szkolnictwa ogólnego i zawodowego, i „deskami zabita” wieś jako statyczne niezmiennie pojęcie kulturowe — to się z sobą nie pogodzi! Perspektywy dyskusowanego powszechnego szkolnictwa średniego wykazują, że izolowana dotychczas baza społeczna kultury wiejskiej kończy się. Penetracja inteligencji wiejskiej w życie miasta zwiększy się, wraz z nią krążenie wartości kulturalnych. Krąg tych dóbr kulturalnych zawiera literaturę, która jakże mało przystosowana jest do nowego typu zamówienia społecznego, jakie wychodzi przede wszystkim ze wsi. Zamówienia na literaturę społecznie odpowiedzialną — literaturę, na jaką wieś czeka od dawna, a od niedawna czekają wszyscy. Skąd przyjdzie pisarz, który da piórem odpowiedź na pytanie, postawione przez życie wsi?

Wydaje mi się, że potrzebę samoświadomości własnych problemów dać może wsi tylko pisarz wiejski. Że również drugi aspekt — problematyki innych środowisk społecznych — będzie musiał dać wsi jej własny pisarz. W obserwację środowiska miejskiego wnosząc konkretne humanistyczne podstawy, pewien sposób wartościowania — to co w pisarzu wyznacza jego charakter w zasadnicze ostatecznie mierzę wychowany przez rodzinny krąg społeczny — ten pisarz może o obcym środowisku wyrokować swą twórczością w myśl własnych środowiskowych norm i wartości.

Wydaje mi się, że naszkicowany tu problem wysokich socjologicznych wymagań wobec powieści stworzy marginesową swoistą koniunkturę. Otóż klasy i środowiska, które łatwo dyskwalifikować będą mogły, wobec niezłomnych kryteriów własnego doświadczenia, dzieła z własnego kręgu społecznego — te same klasy i środowiska z braku wartościowej, wytrzymującej taką krytykę literatury własnego kręgu, szukać będą pożytki w literaturze obcego kręgu społecznego, zaspakajając tym dodatkowo naturalny kompleks egotyizmu. Widzimy jak wieś czyta Sienkiewicza i rzeczy historyczne z kręgu szlacheckiego, może zobaczymy, jak miasto znacznie snobować się na literaturę „pisarzy” chłopskich. Ich krąg doświadczeń

(Ciąg dalszy na str. 4-ej)

PIOTR OZAROWSKI

O katolicyzmie

Głosy z terenu

Są czasem dyskusje i zagadnienia, które trudno pominąć. Do tych należy szczególnie mnie interesująca polemika między obozem katolickim a lewicowym w dzisiejszej Polsce. Chcę tutaj przedstawić kilka uwag wysnuwanych na tle tej dyskusji. Sądzę, że nie zadowolę ani prawych, ani lewych, idę bowiem własną drogą.

Ludziom odsadzającym katolicyzm od wartości społecznych trzeba przypomnieć, że o wartości społecznej katolicyzmu decyduje nie jego stan w tym lub innym środowisku, lecz wskazania Ewangelii. A że Ewangelia zawiera naukę nawskroś rewolucyjną to każdy dobrej woli człowiek musi przyznać.

Realizacja zasad ewangelicznych logicznie musi prowadzić do takiego zorganizowania ludzkości, które w porównaniu ze stanem obecnym musiałoby być nazwane zorganizowaniem rewolucyjnym. Niech co chcą mówią i piszą „urzędowi” i nieurzędowi interpretatorzy, ten fakt jest dla mnie oczywisty. Przecież jeśli na przestrzeni 20 wieków ukazały się jednak indywidualności, które możliwie wiernie urządziły sobie życie wg Ewangelii, to klasyfikując ich dzisiejszą terminologią społeczną byli to ideowi komuniści (choć nie nie wiedzieli o Marksie i innych).

Jeszcze przed wojną 1939 r. uderzało mnie w ówczesnej walce poglądów to, jak może być wierzący katolik zaciętkim nacjonalistą i bezwzględnie zwalczać komunizm? Lubię zawsze wyciągać ostateczne konsekwencje z pojęć światopoglądowych. Bo tylko wyciągnięcie tych ostatecznych konsekwencji, ukazuje nam wartość danego poglądu. Przecież ludzie walczący z komunizmem w imię religii często sami wcale nie żyją religijnie. Nadmieniam, że osobiście również nie jestem komunistą. Ale jeżeli nie jestem nim, to tylko dlatego, że te ostateczne filozoficzne konsekwencje komunizmu materialistycznego są dla mej umysłowości nie do przyjęcia. Ale w walce tej religia bardzo często jest tylko wstydliwą zastoną, która pokrywa nie ideologiczne różnice, lecz zwyrodniałą brutalną walkę o materialny stan posiadania. Wszak jeśli tak często afiszujący się swą wiarą Janusz Radziwiłł oświadczał przed 1939 r., że ze swych 50.000 hektarów nie odda dobrowolnie na reformę ani 1 ha, to gdzież jego praktyczne zastosowanie wiary? Może w ochłapowej filantropii? Wszak najpierw ma być sprawiedliwość, a po tym miłosierdzie. Przecież właśnie to pełne rozwinięcie wiary powinno go skłonić właśnie do dobrowolnego oddania nie 1 ha, ale choć trzech czwartych całości swych obszarów tym, którzy musieli rodzinie liczniej niż nie raz niż jego rodzina, utrzymać na 1 ha ziemi.

Historycy mówią o sprawiedliwości dziejowej.

Ewangelia mówi, że trzeba oddać ostatni wzięty niesprawiedliwie szeląg i że wina

(dokończenie ze str. 3-ciej)

specyficznych nie będzie mógł łatwo podlec dyskwalifikującej ocenie wobec ogólnej nieznajomości środowiska. Łatwo sobie wyobrazić stan, gdy np. publikacje gwarowe stanowiąc będą zabawę literacką mieszczanina, który już się nie da zadziwić „socjologicznie fałszywym” dziwactwem futuryzmu. Zamiast „butem w butonierce” będzie się bawił egzotykiem regionalizmów językowych.

Ale żart na stronę. Poziom pisarza chłopskiego wobec istnienia dawnego, już tradycyjnego, zamówienia społecznego ze strony wsi na utwory socjologicznie odpowiedzialne, może stworzyć z literatury wiejskiej rzetelną atrakcję narodową. I gdy pomyślimy, jakże mało „pedagogiczni” byli choćby nasi wielcy realiści (Sienkiewicz — wycelowany, emocjonalnie działającym morałem na obumierającą, zintegrowaną po częściowym straceniu bazy ziemianńskiej szlachtę, dający jej więcej „jaj” rycerskich, Reymont z obrazkową „chłopskością”, Żeromski z inteligentkim Weltschmerzem) — to może nie będą zarozumiałym, narazie nie usprawiedliwione żadnym dziełem, nadzieje, na możliwości pedagogicznego wpływu tej ze wsi wychodzącej literatury na miasto.

Gapiowata penetracja folkloru „z wyżyn” narodowej kultury, może stać się raptem pouczającą wizją literatury odpowiedzialnej społecznie. Na taką literaturę wystawił inteligent zdecydowane zamówienie już w czasie konspiracyjnego wysiłku literatury — i dla tej klasy jest to cicha rewolucja.

Bo dla wsi, dla czytelnika wiejskiego, ta postawa to zdobycz stara. Nowe tylko winny ze wsi wyjść realizacja.

Roman Bratny

nie będzie darowana, dopóki rzecz nie będzie zwrócona. Więc jakiego, w takich rozmiarach trzeba aktu sprawiedliwości dziejowej, aby mogła być ewangelicznie, czyli po katolicku oddana krzywdą pokoleń ciągnąca się przez całe stulecia.

Choć dokumenty archiwalne napęczniały są od tej krzywdy ludzkiej, ale znającemu psychikę ludzką wcale nie potrzeba dokumentów, aby wiedzieć, ile musi wycierpieć człowiek, gdy jest pod władzą niczym nieograniczoną drugiego człowieka. Każdy z nas ma świeże przykłady w pamięci. Wiem ja i o tym, że były i odpryski dobra w tym lennym stosunku, ale to rzecz tak mała w porównaniu do ogromu czasu i ucisku, że nie wiele waży na szalę dziejów. Niech więc wiedzą dzisiejsi krytycy jak krytykować i kogo krytykować. Bo rozmaite systemy filozoficzne i gospodarcze są zmienne, ale dzisiejsi nieraz tak niedoświadczeni obrońcy prawdy katolickiej (katolicki znaczy tyle co powszechny) powinni wiedzieć o tym, że jeśli ta prawda jest wieczysta i zdolna usunąć wszystkie bóle życia ludzkiego jednostkowego i społecznego, i jeśli fundamentem etyki katolickiej jest sprawiedliwość, to obecne przeobrażenia społeczne zachodzące w skali nie tylko krajowej, ale i ogólnoswiatowej są tylko prostym aktem tej sprawiedliwości.

Kościół szczepi się tym, że już w osobach Kettelerów, Leonów XIII i innych, potępiał liberalny kapitalizm. Prawda. Ale głucho

było o tym w Kościele Polskim. Trzydzieści kilka lat żyje na wsi, bardzo często mam styczność z wiejskimi duchownymi, chodzę na kazania dość często, i naprawdę ani jeden raz nie posłyszałem z ust wiejskiego proboszcza że np. Pius XI powiedział w „Quadragesimo Anno”, że jest niemoralne gdy w rękach niewielu jednostek gromadzą się wielkie dobra, a całe rzesze ludzi pracy cierpi niezastudzoną nudę.

Co więcej nawet myślę, że gdyby tak przed 1939 r. w niejednym środowisku wiejskim, ktoś głosił podobne zasady, to byłby przez gorliwego stróża wiary napiętnowany jako komunista.

Owszem, coś niecoś się gadało i pisało w szczupłych koleżkach, ale ogół nie wiedział o tym nic. W potrzebie natomiast wyciąga się rekwizyty z przeszłości o „przedmurzu chrześcijaństwa” lub, że „poczciwy lud ek gorąco jest przywiązany do wiary ojców”. A praktyka życiowa mówi co innego. Ten poczciwy lud, tak żarliwie wierzący jest miastety, wstyd pisać, w dużej mierze jeszcze ludem pierwotnym, gdzie złodziejstwo wszelkiego typu jest na porządku dziennym, gdzie bardzo często dzieci i starzy nie mają ludzkich praw, bo liczy się tylko siła fizyczna do pracy jako najważniejszy czynnik uprawniający do życia. Ogólny poziom umysłowy bardzo niski. Nawet akt religijny wypływa bardzo często raczej z wyrachowania i siły przyzwyczajenia niż z rozumnej świadomości ludzkiej. Pewnie mi tutaj ktoś

wskaże pojedyncze przykłady, że jest inaczej. Ja wiem, że w zasięgu całego kraju i w liczbie kilkunastu milionów na przestrzeni kilkunastu lat można zbierać kilkaset tysięcy dobrych przykładów. Będą one stanowić, powiedzmy jedną dwudziestą całości. A co z większością 19/20?

Szukam przyczyny tego marazmu w naszym katolicyzmie. Oprócz czynników takich jak długotrwała niewola, wybija się jeszcze jeden czynnik. Jest nim kastowość naszego kleru.

W dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej od XVI w. — biskupstwa były zastrzeżone tylko dla szlachty. Przecież podobno przeciw Hozjuszowi wnoszono wielkie protesty jako mieszczaninowi. Ostatecznie był na uboczu w Warmii. Tak samo inne o większym znaczeniu funkcje kościelne spełniali ludzie zawsze ze szlachty pochodzący i z nią związani. Zmieniły się czasy i formy organizacji społecznej, ale ten szlachecki duch wyłączeniowości kastowej trwał zawsze mocno w hierarchii kościoła w Polsce. Przede wszystkim kadry duchowieństwa dopełniały się przeważnie ludźmi z warstw szlacheckich. Wszak ze wsi mógł się ktoś jako tako uczyć dopiero w latach pouwłaszczeniowych. Więc choć nieraz wychodzili księża z warstwy chłopskiej, to byli oni całkowicie pod wychowawczym wpływem „starszej braci szlacheckiej”.

W kraju rolniczym górującą pozycją był dwór. Dlatego olbrzymia większość naszego duchowieństwa poszła na lep polityki dworu a... przy znanym polskim bezkrytycyzmie i sentymentalizmie utożsamiał proboszcz dwór z Polską. Wyjątki od tej zasady potwierdzają regułę, bo nieliczni duchowni społecznie niezbyt mile bywali widziani w sferach ziemian i nawet w kuriach biskupich. Więc wytworzyła się taka sytuacja, że w Polsce nie było kapłanów na miarę kard. Manninga, bpa Kettelera, pastora Grundtviga i naród katolicki wychowany przez Rzymski Kościół stał daleko niżej niż tylko technicznie, ale i moralnie niż takie np. protestanckie narody Skandynawii i Danii, lub Szwajcarii.

Dlatego właśnie nasz katolicyzm jest taki polowiczny, tak bojący się swych własnych zasad. Masy ludności odczuwają że bezkrytyczne trwanie przy tradycyjnym skostnieniu obrzędowym to nie jest to samo co pełna wiara. I masy widzą, że ci, którzy poprawę bytu odkładają swym „owieczkom” w lepsze zaświaty, sami bynajmniej nie stosują tych wskazań do siebie. I mogą śmiało powiedzieć: w Polsce w masach katolicyzm trzyma w ryzach tylko mocą swego wielowiekowego odziedziczenia i siłą tradycji a nie świadomości przekonaniem. Nieuniknioną zmianę struktury społeczno-gospodarczej Polski musi objąć również swymi wpływami i tę sferę życia. Ale ludzka się niejedni starej dacie przywódcy katolicy w Polsce, że da się odwrócić ten nurt przemian. Nurt ten popłynie i pogłębi się jeszcze — katolicyzm doń łatwo się przystosuje jeżeli zechce być tym, czym powinien być.

Nie można pomyśleć czegoś wzniosłego, szlachetnego, pięknego, aby nie znaleźć dowodu tych wartości w chrześcijaństwie. Katolicyzm jako najwięcej, że tak powiem, zwarte w sobie, skondensowane chrześcijaństwo — ma szczególną rolę w tym względzie. Czytajmy historię uczciwie i bezstronnie, a świadectwo wieków da nam odpowiedź. Ale tak jak kowalowi nie dajemy do sporządzenia astronomicznej lunety, choć w jej budowę wchodzi metal, tak samo umysł surowy nie zawsze jest w stanie puszczać się na głębiny myśli. Pełnia katolicyzmu może być zrozumiana przy pełni oświaty. Pełnia oświaty w danym kraju to znaczy wolność i brak wszelkiego nacisku człowieka nad drugim człowiekiem, to przełamanie i zniweczenie pierwotnych dzikich instynktów człowieka. Panowanie człowieka nad człowiekiem szczególnie jaskrawo występuje w społeczeństwie ciemnym. Jest przekleństwem ludzkości że właśnie najszlachetniejszą ideologię, jaką jest chrystianizm, przewrotna wola ludzka nawet wewnątrz kościoła używała do walki z oświatą i „światłość służyła Ciemności”.

Pamiętam jeszcze około 1937—1938 roku, czytałem w piśmie katolickim sentymentalny reportaż z okolic podhalańskich. Między innymi taką uwagę: „Ziemniaki, rodzina liczna, po mordzie na głowę nie wyjdzie, ale mają przecież ze sobą w kaplicy cudownego Jezusika Frasobliwego. On tam już jakoś zaradzi na tę ich biedę”. Właśnie dlatego, że jestem katolikiem, odczułem w tym zdaniu obelgę rzuconą w twarz katolicyzmowi, żagiew płonąca podłożoną na rozpalenie rewolucji, nie tej twórczej, ale tej niszczyтельской. Legiony niedarzy, pariasów europejskich jakimi w Polsce były rzesze bezrolnej i matorolnej biedoty wiejskiej — odsyłano sztydersko nieraz do „Jezusika Frasobliwego” po poprawę bytu. Czy ci, którzy bali się komunizmu, tak zatyły mieli już serce i rozum od tuszczu, że nie spozstrzegali, że sami najlepszą w ten sposób robią drogę komunizmowi?

zk

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

Chochołowianie *)

Podhalanie!

Kiedy mgła wstydu zakryła nam oczy a honor zdarty na strzępy —
wstając z grobowych pomroczy — Legendy naszej zastępy!

Chochołowianie!

Truchelne rzucają mroki,
ciemne wiązby darni...

I choć to jus teie roki,
wstając... jak byli...mocarni.

Kmiotowicz z krzyżem na przedzie —
komzę mu zorza obieła.

Andrusikowicz chłopów wiedzie —
— lśni stalna karabela.

A za nimi to wojsko bosc:

Zych, Koisowie sołtyś.
Zamiast sztandaru ...kosa,

ciupagą rąbić... perci.

Po krwawej stąpają chraści,
w mozolnym kąpią się trudzie.

Więc wspominamy ich: Nas! i kłoniąc głowy: Ludzie.

Chochołowianie!

Kiedy!

Od grani po grań
zaległa siwa mgła.

Noc —

Cma —

Nędza — niewola.

Wtedy!

Wstaliście Wy... jak młoda jurna lic,
wiońnianym zbudzeni słońcem...

— co w żyły leje war i pięściom zemstę dyszy.

— I rzuciliście zew — błyskawic stalnych wić.

Narodziła się pieśń — co piorun w niebie krzesze

i ostrza ciupag rumieni krwi gorącym.

Hej pieśni!... ślebody pieśń —

Bić!...

Bić!...

Bo nie skamlenie warg... lecz warkot krwi płynącej

z odważnych piersi: —

Usłysz —

Bóg!

Chochołowianie! . . .

ojce rodni i bracia moi

Waszych dróg . . .

Waszych ciernistych perci: ! —

Nie przysuje kurniawa dziejów,

— Jak nie zakryły Was lochy Spielbergu. —

Od waszych cuch poszum orlich marzeń idzie

I halne wiatry wieczną Głorię wiefą.

— Kroki wasze dudnią w historii piargu.

Mo! ludzie!

Błyskawice ślepoty na licach wam rumienieją,

jasne swe czoła wydarłicie śmierci

i ziemnej grudzie.

Wiek przeszedł siwym sępem. . . . następnym podaje ramię
i wiecznym hyrem pójdzie:

Chochołowianie!

Nasi ludzie! . . .

Męczennicy i patronowie Podhala.

Wołamy do Was!

*) Wiersz ten, napisany w 1941 r. w rocznicę powstania chochołowskiego (1846), kolporowany był konspiracyjnie na terenie Podhala.

MACIEJ CZULA

Włóczęgi po krajach Europy *)

Dwa dni trwała wędrowna przez wsie i miasteczka niemieckie, jedną noc przespałem w stodole, drugą na jakimś starym cmentarzu aż w trzecim dniu znaleźliśmy się wszyscy trzej na bruku Berlina, który zrobił na nas duże wrażenie przedstawił się nam bowiem jako miasto-kolos i mrowisko ludzkie.

Monumentalne gmachy, wspaniałe pomniki, piękne skwery, ogrody i aleje, bajeczne fontanny i wodotryski, szerokie i przeważnie proste, jak strzała ulice i ten olbrzymi piechoty ruch, autobusowy, kolejowy, kołowy, z osłepiającymi w nocy reklamami robił na każdym przybyszu wielkie wrażenie. A było to przecie przed blisko 40 laty, kiedy Berlin posiadał niecałe 2 miliony mieszkańców.

Rozrastają się nie tylko sam Berlin, ale i przedmieścia Charlottenburg, Moabit i inne, przy czym także na gwałt osuszano i meliorowano cokolwiek podmokłe okolice Berlina.

Niemcy zażywały w tym czasie szczególnego dobrobytu, to też przy nowo wytyczonych ulicach powstawały całe kolonie pięknych will, pałaców i domów czynszowych, przy czym zauważyć można było charakterystyczny szczegół.

Naprzód wytyczono ulice i robiono chodniki, dopiero budowano przy takiej „gotowej” ulicy gmachy, w przeciwieństwie do zwyczajów w Polsce, gdzie naprzód stawia się kamienice — a dopiero po kilku latach brukuje się ulice i chodniki. Szybkiej rozbudowie Berlina i przedmieść sprzyjała różnorodna komunikacja. Oprócz pociągów kursowały w Berlinie kolejki podziemne, napowietrzne i okrajowe, a oprócz tego tramwaje, autobusy i wspaniałe jeszcze wtedy, dorożki konne. Tak w samym Berlinie jak i w okolicy postępowały na wielką skalę roboty publiczne. Powstawały nowe szosy, koleje, fabryki, bulwary, kanały, regulowano rzeki.

Przy wszystkich tych budowlach pracowali zawsze bardzo dużo cudzoziemcy: jak Włochów, Rusinów a przede wszystkim Polaków ze wszystkich trzech zaborów. Zarabiano różnie. Niewykwalifikowany robotnik zarabiał 30—40 fen. a wykwalifikowany 50—60 fen. na godzinę przy 10-godzinnym dniu pracy.

Był to zarobek, z którego można było nie tylko żyć, ale i coś odłożyć to też robotnicy Polacy przysyłali nieraz w sezonie 500—600 kor. do domu.

Otrzymałem i ja dobrą płaćną pracę, to też w dni intensywne się zwyczajnie na akord pracowałem, a wieczorem oglądałem Berlin z przyległościami. Odwiedzało się też kina, teatry, restauracje, kawiarnie, choć bawiliśmy się tam źle, bo słabo władaliśmy językiem niemieckim.

Kolonja polska w Berlinie liczyła wtedy około 60.000 głów samych osiadłych tam Polaków. Zajmowali oni różne stanowiska. Dużo było rzemieślników, kupców, doktorów, właścicieli realności itp., z robotnikami sezonowymi było wtedy w Berlinie z górą 100.000 Polaków.

Głównym organem polonii berlińskiej był „Dziennik Berliński” drukowany na 4 stronach pod redakcją Fr. Sal. Krwisiaka. Na Weissenburgerstrasse ordynował dr Czarnowski redaktor miesiecznika „Przewodnik Zdrowia”. Był on wydawcą szeregu dzieł lekarskich między innymi i „o krzyżującej niedorzeczności szczepienia ospy” — które jednak spotkało się ze sprzeciwem powag lekarskich.

Na ogół jednak Polacy berlińscy nie okazywali nadzwyczajnej żywotności. Bardzo rzadko urządzali wieczorki, zabawy lub uroczystości, a życie towarzyskie skupiało się jedynie w klubkach i piwiarniach. Do Polaków z innych zaborów odnosili się berlińczycy raczej niechętnie, uważali nas bowiem za jakichś młodszych, niedouczonej braci, nie przynoszących zaszczytu w obcowaniu.

Wszystko się układało dla nas trzech: t. j. skryby, kelnera i mnie, jak najlepiej. Gdy później jesienią otrzymaliśmy wszyscy wiadomość, że przed Bożym Narodzeniem musimy Berlin opuścić. Istniała bowiem kagańcowa ustawa pruska, która zmuszała Polaków do wyjazdu na okres zimowy do domu — ażeby się zbytnio w Niemczech nie osiedlali. A na wiosnę mogli znowu powrócić.

Wiadomość ta spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Nie miałem bardzo z czym wracać do kraju, więc postanowiłem się bronić przed wysiedleniem. Pomógł mi, jak i wielu innym, znowu kancelista, który za dzień dostarczył mi kartę pracy, zamiast za słowem: „Galicien” z pięknie wykaligrafowanym mianem „prowinz Posen”. W ten sposób nasz kancelista zrobił nas fikcyjnie poddany mi pruskim, a zatem byliśmy — przynajmniej na razie — wolni od wysiedlenia z Niemiec.

Inna rzecz, że ten mój — jakbym go dzisiaj nazwał — niestety postępek zmienił się na mnie srodze, bowiem zostałem niedługo potem przez żandarmerię aresztowany.

Wzięcia niemieckie wyglądają na zewnątrz jak wszystkie publiczne budynki w Niemczech niezwykle okazałe i groźne. Cele są pojedyncze, oświetlenie dostateczne, umeblowanie składa się z łózka w dzień przytwierdzonego do ściany, krzesła i stołu, na którym leżały dwie książki o treści umoralniającej. Można było w celi czytać, pisać, rysować, cicho śpiewać i spacerować po celi dowoli.

Śniadanie składało się z pół kilograma chleba i pół litra mleka, obiad ze zupy, ziemniaków z kapustą i kawałkiem mięsa. Na kolację soczewica lub fasola.

Na drugi dzień przyprowadzono mnie przed oblicze jakiegoś dygnitarza, który mi wręcz oświadczył, że papiery są sfałszowane i żebym się przyznał od kogo je mam. Odpowiedziałem wymijająco, że imię i nazwisko moje są prawdziwe, że nic nie chcę, tylko znaleźć pracę. Dygnitarz spojrział na mnie z niedowierzaniem, następnie zaczął mi się bliżej przyglądać i widocznie musiałem wywrzeć na nim korzystne wrażenie, bo machnął ręką i oddawszy mi moje dokumenty, rzeki: „Możecie iść, tylko robcie was uważnym — tu pogroził mi palcem, — że możecie spotkać kogoś więcej wymagającego niż ja — i wtedy możecie być odstawięni do granic Austrii”. Taka perspektywa nie usmęczała mi się zupełnie, nawiązałem więc niedługo kontakt z pewnym „vorarbeitrem”, który werbował robotników do Chamot — Fabryki w Rammerode w prowincji „Hessen-Nasau”. Uwinawszy się szybko cały transport łącznie ze skrybą i kelnierem stał już przy pociągu, który uwiózł nas w nieznanym kraju, trochę uboższym od Prus.

Fabryka w Rommerode składała się z dwu dużych budynków fabrycznych, z trzech mieszkalnych i otoczona była wysokim murem, z poza którego widać było jedynie niebo. Praca w niej była ciężka i niezdrowa, ponieważ wydzielali się z mielonych na proch kamienią pył, który wciśkał się do płuc i tamował oddech.

Wynagrodzenie było dość marnie. Dwie marki dziennie i wikt. Na obiad najczęściej soczewica z kiełbasą, ziemniaki ze śledziemi lub zupa ziemniaczana.

Na kolację kawa lub fasola. Chleb i ma sło trzeba było kupować.

Osadzałem nam dość ciężkie życie i pracę tamtejsi Niemcy a szczególnie Niemki, które wcale od nas nie stroniły, a były nawet wcale ładne i potulne.

Urządzali często zabawy i widowiska, na które nas zapraszali.

Oto para niemieckich kuglarzy zjechała do osady i występuje na małej polanie koło fabryki. Ubrany dziwacznie „August” po zademonstrowaniu paru kociołków, z taką oracją zwraca się do swojej połowicy.

— Ja cię już mam dość i odchodzę od ciebie. Ona: Gdzie ty August pójdziesz i co będziesz bez mnie robił? On: Ja cię nie chcę, bo sobie żonę zrobię! Ona: Ty sobie zrobisz żonę? nie plec August głuptaw! On: Zaraz zobaczysz. Przy tych słowach prosi najbliższego widza o chusteczkę, robi z niej pajacyka, stawia go na ziemi, a pajacyk tańczy w takt muzyki, poruszany zapewne przez cieniotki niewidocznych drucików. Ona udaje zdziwienie, on triumfuje a Niemcy tak głośno rechoczą z radości, że im fajki z ust powypadają, a leciwym matronom trzęsły się z weselości brzuski.

Po pięciu miesiącach pojawiła się u mnie coraz częściej, na skutek wżerającego się do płuc trującego pyłu duszność i kłucia w piersiach, co mi groziło chorobą, postanowiłem zatem z Rommerod wyjechać. Wybierałem się do Nadrenii, dużo bowiem słyszałem o piękności tej prowincji. Pożegnawszy się zatem ze wszystkimi towarzyszami pracy, bo skryba i kelnier zostali w fabryce, udałem się koleją na zachód. Spodziewałem się dostać do jakiejś fabryki, tymczasem trafiłem znowu do kopalni. Na szczęście nie była to kopalnia węgla kamiennego tylko drzewnego, a zamiast spuszczać się do niej winda, schodziło się do niej po prostu po schodach. Węgiel taki znajduje się w głębokości kilkunastu najwyższej metrów pod ziemią wskutek czego zbędne jest budowanie dla wydobycia go — szypłów.

Z nastaniem zimy praca w kopalni została ograniczona, wobec czego należało szukać innego na zimę przytulku, to też niedługo pociąg unosił mnie do Frankfurtu nad Menem. Stare to miasto z cokolwiek dziwnymi średniowiecznymi gmachami i ośrodkiem ciężkiego przemysłu robi na przybyszu dziwne wrażenie. Jest ładne a zarazem stane, ponure, średniowieczne. Mnie ze

względu na pustą kieszeń interesował najbardziej dom Rotszylda, jakbym chciał z niego wyczytać: „jak się robi miliony”. Z Frankfurtu fruнаłem do Wiesbadenu, unosząc ze sobą pamiętkę... dziewicę... wytatowaną na prawej ręce, za co zapłaciłem artystycie gotówką 50 fenigów.

Tatuowanie różnokolorowymi farbami wszelkich możliwych części ciała, jest w Niemczech zwłaszcza w sferach marynarskich i robotniczych bardzo rozpowszechnione. Są w tym „zawodzie” rutynowani mistrze, którzy potrafią specjalną maszynką lub nawet zwykłym nożem wytatuować w niedługim czasie, na piersiach, rękach, nogach i plecach rozmaite „arcydziała”, jak akty miłosne, orły państwowe, historyczne batalie, krajobrazy, zwierzęta, bydło, ptactwo itp. rzeczy.

Z Frankfurtu względnie z Wiesbaden postanowiłem się udać do największego skupu polskość do Westfalii. Nie ma w Westfalii pięknych widoków, starych zabytków ni historycznych miast, jest za to, względnie był, wtedy potężnie rozbudowany ciężki przemysł, kopalnie, koksownie, cegielnie i inne fabryki. Dziesiątki tysięcy polskich robotników przevažnie ze Śląska i Poznńskiego, osiedliło się w Westfalii na stałe, zakładając rodziny, sklepy, restauracje, zakupując realności i t. d.

Im bardziej dawała im się we znaki tęsknota za ojczyzną tem uporczywiej pielęgnowali dla niej kult. Nie ustępowali Niemcom w Essen czy Dortmund, w Gelsenkirchen czy Bochum. Narazili się nieraz na szykany, wydalanie z pracy, więzienia. Szczególnie silnie było rozwinięte polskie życie narodowe w Bochum, gdzie wychodził organ wychodźstwa „wiarus polski” pod redakcją Jana Brejskiego. Bardzo pouczające i wzruszające zarazem były wszystkie polskie zbrania. Ponieważ obowiązywała wtedy ustawa kagańcowa, według której nie wolno było przemawiać publicznie po polsku, tam gdzie nie było 60 proc. Polaków, dzielni polscy patrioci radzili sobie niejednokrotnie w ten sposób, że ażeby nie mówić po niemiecku, wypisywali swoje rezolucje po polsku na tablicy i uchwalali je przez podniesienie rąk.

Mimo, że w Westfalii zarabiałem około 18 marek dziennie moja żyłka podróżnicza nie dała mi długo zagrzać na jednym miejscu.

To też w niedługim czasie znalazłem się w Halle u/S, gdzie nie było dużo robotników Polaków, pracujących w okolicznych dworach, ale także dużo było studentów Polaków na tamtejszej Akademii rolniczej. Obydwa jednak warstwy nie stykały się ze sobą. Robotnicy wstydziły się zbliżyć do „panów” a studenci nie byli zadowoleni z rozpuszty, w jakiej się robotnicy tarzali. Rezultat był oplatany. Robotnicy Polacy mieli złą opinie a dziewczęta opłacały swoją lekomyślność w pozukiwaniu miłosnych przygód, utratą dziewictwa i powrót do domu z przychówkiem, który nigdy nie wiedział kto jest jego ojcem. Podobne stosunki panowały również w niedalekim Lipsku, tam jednak Polacy trzymali się dzielniej i pracowali dużo na niwie patriotycznej.

Zbliżała się złota tęska jesień i sam nie wiedziałem, kiedy wkradną mi się do duszy tęsknota za domem rodzinnym.

Pieniędzy trochę złożyłem, ponieważ wśród obcych miałem dość, więc i przeszkoda do powrotu zniknęła.

Nie miałem zreszta ochoty zostawać całe życie robotnikiem. Gdziekolwiek dotychczas przebywałem, brałem wszędzie żywy udział w szerzeniu oświaty wśród robotników i posyłałem korespondencję do miejscowych i krajowych gazet, które mi chętnie drukowały. To mnie utwierdzało w przekonaniu, że jeżeli nie wyrobie się na literata, to chociaż na działacza i pisarza ludowego. A tyle przeciw pracy tak na obczyźnie jak i w kraju nad chłopem i robotnikiem trzeba prowadzić, ażeby ich obudzić z martwoty i wskazać im prawdziwy cel życia.

Wybrałem się tedy w drogę powrotną, ale skoro dojechałem do Drezna, przypomniałem sobie, że gdzieś przy pracy, słyszałem mowę mało podobną do polskiej, czeskiej czy ruskiej, a jednak słowiańską, że ci Słowianie, t. zn. Łużczanie, mieszkają niedaleko od Berlina i Drezna w stronę czeskiej granicy. Musze ich poznać — pomyślałem. Wzięłem tedy kuferek w ręce i puściłem się pieszo do tego ciekawego kraju, w którym jednak doznałem dużego rozczarowania. Bo oto te Łużycy, które przecież Bolesław Chrobry przyłączył do Polski, to już kraj w połowie niemieckony. Gdzieś jeszcze starzy przy kominku, mówią do siebie cicho, żeby ich Niemiec nie słyszał, po Łużycku, bo młodzież rzadko tego języka używa!

Za to kraj piękny, lesisty, dużo stawów i jezior częściowo zdrenowanych i osuszonych. Lud dorodny, zdrowy, mężczyźni gładko

wygoleni, noszą granatowe kaftany a kobiety a zwłaszcza dziewczęta, ubierają się cudownie, zbliżają się bowiem barwnością stroju do naszych Ślążaczek lub czeskich honaczek.

Stolica Łużyc, Budziszyn, był wtedy 3/4 niemieckim miastem, to też i napisów Łużyckich w ich stolicy widziałem bardzo mało. Jedyne ich piękny i okazały Narodowy dom, w którym się mieściło muzeum Łużyckie, czytelnia, biblioteka, restauracja i wszystkie nieliczne zresztą towarzystwa Łużyckie, gdzie także wychodził ich dziennik, zdaje się „Serbskie Nowiny”, był kuźnią Łużyckiej kultury.

W Budziszynie zastał mnie pierwszy śnieg, co mi przypomniało, że zbliża się zima i należy wobec tego przyspieszyć wyjazd do domu. Przez całe trzy lata wałęsałem się po Niemczech koleją, autem, konno lub pieszo. Zwiedziłem wszystkie większe miasta i osady fabryczne i mogę powiedzieć, że nie wielu było Polaków a może i Niemców, którzyby tak dokładnie objęli i obešli Niemcy, jak ja to uczyniłem.

A teraz coś o samym kraju i ich mieszkańcach. Na parę lat przed wojną światową, Niemcy płąwały się w dobrobie co było w znacznej części zasługą świata pracy. Jeżeli chodzi o chłopów niemieckich, to są oni trochę oziępli, wygodni, ale dokładni, pracowici, mądry, zapobiegliwi. Nie tylko miasta, ale i wsie niemieckie łąniły czystością, a zamożność i dobrobyt był tak zwyczajny, że każdy dziwił się niezamożności tylko biedzie.

Miasta są wspaniale rozbudowane, a i wioski są rozmieszczane planowo, z wybrukowanymi ulicami, a często chodnikami. Tak katolicy jak i protestanci rzadko święcą niedzielę i święta. Pracują kiedy im potrzeba, nie pytając się nikogo a najmniej księdza o radę.

Wnętrze domu niemieckiego chłopca nie zawsze jest bogato urządzone, zależy to zresztą od stopnia zamożności gospodarza, za to wszędzie jest czysto i schludnie. Wszyscy nawet najubożsi do dziećci włączanie, noszą w lecie i zimie przy pracy sandały drewniane, ale przy wejściu do pokoju zostawiają je przed progiem wkładając na ich miejsce sandały skórkowe. Stąd po ilościach sandałów przed progiem poznaje się ilość członków rodziny. Przy pracy noszą ubrania grube nawet polatane, ale wieczorem gdy wychodzą na spacer czy zabawę, ubierają się dostatecznie, niemal wykwiutnie, a fornał ubrania jest równie dobrze jak jego pan.

Robotnik czy gospodarz wybierając się do pracy, zabiera ze sobą w plecionej kobiale nieprawdopodobnie wielką ilość kromek białego chleba, przekładanego gęsto smalcem, serem lub mięsiwem. Kawę piją z mlekiem ale bez cukru. Niemcy lubią również piwo i każdy z nich jakąś zamienita część zawartości niejednego browaru wychyli. Życie rodzinne jest wzorowe, ale jakies inne, więcej zimne i wyrachowane niż u nas.

Rzadko można spotkać jakąś czułą scenę rodzinną, a nieznanym jest zupełnie zwyczaj całowania kobiet w rękę. Kobiety odgrywają na ogół małą rolę przy boku mężczyzny. Są czyste, gospodarne, pracowite, oszczędne i czasem ładne. Są na ogół zgrabne, choć trochę ocieślałe, puciołowane, wygodne. Robotnicy w Niemczech, zwłaszcza fachowcy, zarabiają bardzo dobrze i stać ich na wszystkie wywody. Dobry fachowiec potrafi zarobić i 50 marek dziennie — więc nie mu nigdy nie brakowało. zegarek ma każdy stary i młody, przeważnie już od szkolnych lat.

Mimo wielkiego dobrobytu niezadowolenie wśród mas robotniczych było w Niemczech zawsze bardzo duże i do Reichstagu stałe wychodziło z Berlina i innych miast po paru socjalistów. Socjalizm ten był jednak dość skromny w zadaniach i daleki był od rewelacyjnych międzynarodowych hasel. Był to socjalizm specyficznie niemiecki — wiernopoddańczy i dlatego Hitler tak szybko go w Niemczech wykończył.

Zima w r. 1909 nie była zbyt ciężka mimo to wstrząsnął mną silny dreszcz gdy wsiadałem na stacji w Podlesiu, ażeby zdążyć na święta Bożego Narodzenia do rodziców. Był to dreszcz z zimna ale i z radości że po 4-ch latach zobaczę znowu starszków rodziców.

Zbliżając się do domu, zauważyłem jak matka krzatała się koło wieczerzy wigilijnej, a ojciec śpiewał donośnym głosem wesole kolendy.

Ogarneło mnie na ten widok tak wielkie wzruszenie, że ledwo mogłem przestąpić próg rodzinnego domu. Było radości u nas wszystkich co niemiara, ja zaś spędziłem pierwszą — po wielu latach tułaczki — za chlebem — Święta Bożego Narodzenia — w spokoju i ukojeniu duchowym.

*) Fragmenty pamiętnika Macieja Czula drukowane były w numerach: 14 (43) i 18—19 (46—47) „Wisła”.

łapska stare barany, czego nie czynił przy Jędrku. Stawał się pies coraz wścieklejszy, tak, że otumanione stado zbilo się w kupę i pobekowało założnie, bojąc się rozlać za trawą, bo nieznośny pies był dziś w okropnym humorze.

Chociaż barany były już spokojne, to pies dalej warczał i szczyrzył zęby. Jest coś złe z człowiekiem i trzeba iść w tę stronę w której przed niejakim czasem zniknął. Zaniepokojone do najwyższych granic psisko pędziło przed siebie cały kierdel, ujadając jak najzjadlej, jakby tym chciało zwrócić na siebie uwagę juhasa.

Pędziło stado przed psem, którego nieomylny Instynkt i węch ciągnął do człowieka. Znalazł go wkrótce śpiącego pod smrekiem. Teraz pies, nie niepokoił by się, ale że człowiek spał tylko przy stadzie, więc to leżenie tutaj znów wydało się psu nienormalnym zjawiskiem. Do tego, przy człowieku, leżało rozsznuty na mchu dużo tych trawek, takiego samego koloru jak piana potoku, w którym Cezar często swój ózór zwiłzał. Do tych trawek zbliżyła się jedna z bezczelnych owiec i nachylając się zamierzała zeżreć. Cezar i teraz wściekle skoczył na owcę nie pozwalając na to, bo przecież widywał często jak człowiek tymi trawkami się bawił.

Po odpędzeniu owcy, pies nadal niepokoił się, że człowiek nie wstaje, bo zwykłe na ujadanie juhas zawsze się zrywał. Wydało się Cezarowi i to dziwnym że te białe trawki leżą na ziemi, kiedy człowiek przecież lubi je kąpać w potoku, do kapelusza przypinać lub gdzieś wynosić.

Siadł więc Cezar na ogonie i zawył. Wzniołszy łeb w górę, zobaczył znów wysoko na smreku ten przedmiot, z którym człowiek prawie nigdy się nie rozstał. Lublił człowiek podpierać się i przysiadając na tym, lubił gąęzić drzew odrybywać, rzucać w powietrze i chwytając rękami, i przy ogniu wraz z innymi juhasami różne cuda wydziwiać. Ale co najgorsze, lubił człowiek również końcem tego przedmiotu i bić po psim zadku. Nie powinien więc Cezar lubić tego przedmiotu, ale że był on tak nieodłącznym towarzyszem człowieka jak i pies, więc Cezar i tym się zaniekpokoił. A kiedy człowiek nadal spał i nie miał zamiaru wstać, pies wziął się do farmoszenia za odzież. Nic. Człowiek śpi. Pies począł skomlać i liźać człowieka po rękach i twarzy.

Wtedy człowiek poruszył się. Nareszcie, aż psisko radośnie podekoczyło, oparło się całą długością przednich łap o mech, wtuliło łeb między te łapska i potem znów podekoczyło i zaszczekało radośnie, bo człowiek podnosił się.

Ocknąwszy się jako tako Jędrzek od razu pojął co mu się stało i z jakiej to przyuczyny. Pamiętał wszystko. Tylko nie pamiętał kiedy stracił przytomność i co go tak walnęło w brzuch. Czy konar jakiś czy w zetknięciu się z ziemią tak mu się dostało. Bólu właściwie żadnego już nie czuł, ale był ogłupiony i oszołomiony wypadkiem. Popatrzył i na ręce, bo przypomniał sobie że coś go okropnie zapiekło pod czas padania w dół. Dojrzał i ciupając i naraz zapragnął ją przy sobie mieć, boć jasne że tylko przy jej pomocy uratował się. Ale w tej chwili przypomniał sobie szarotki i dojrzał je. Były zmięte iak szmatki. Nic to, w wodzie ożyją. Pozbierał co do jednego. Podczas tej czynności naktnął się na parę kamieni i przy ich pomocy strącił ciupagę. Wtedy, dotad łasząc się przy Jędrku pies zląkł się że człowiek go zbije za to że tu przylał. Ale Jędrzek ani o tym pomyślał. Trochę postępując, boć takie zetknięcie się z ziemią musiało jakiś ślad w ciele juhasa zostawić, pognął kierdel na hałę. Tutaj znów przykazał Cezarowi pilnować barany i sam skierował się ku potokowi, który zmietoszone szarotki przeczarował w cudny bukiet, który wprawił Jędrka w niewypowiedzianą radość, bo szarotki były wyjątkowo piękne i duże.

Tylko że jakoś o paleniu zapomniał. Te szarotki wprawiły go w nastrój jakiegoś wielkiego, świetlanego uczucia. Za dużo kosztowały. Nie dziwoła. Domeczyło go przy nich okrutnie. Aż mu szkoda było ich pozbywać się. Ale połał ku drodze i siadłszy na ławce wystawił kwiatki na pokaz. Niech se iaka pani kupi. Byle moc dudków dała, bo już i kurwyz się chce.

Zbliżyła się jakaś pani z paroletnią dziewczynką, piękną jak promień słońca oprawiony w wianek z tych kwiatów, które juhas trzymał w ręku. Dziecko podbiegło do Jędrka i wlepiło oczy w cuda. Krysztapan! Takie oczy on chyba musiał mieć kiedy laził po te kwiatki. Dziewczynka wyciągnęła ręce. Jędrzek oddał szarotki. Ale kiedy pani coś zaczęła majstrować przy torebce. Jędrzek cofnął się i zniknął w smreku. Nie wiedzieć skąd, nagle zrodziła się w głowie juhasa myśl, że nie ma ce-ny na to co dał tymu dziecku.

Czesław Schabowski.

Stanisław Jerzy Lec: NOTATNIK POLOWY, poezje, Spółdz. Wydawnicza „Książka”, 1946, str. 45+3.

Stanisław Jerzy Lec jest nieprzeciętnym majstrem techniki pisarskiej, zna on i docenia w pełni wagę tych efektów, jakie dać może operowanie rytmem i rytmem, a więc tymi narzędziami poetyckiego wyrazu, które zepchnęła w ostatnich dziesiątkach lat na plan drugi królująca wszechwładnie w naszej poezji metafora. Dużo jest w „Notatniku polowym” wymyślnych efektów, ale efekty te bywają zawsze uzasadnione treściowo. Kiedy np. w wierszu „U matuli na Bójkach” autor stosuje połączenie rymu męskiego z żeńskim (krwi-witak, lip-kity, barszcz-klaszcza), nie chodzi tu tylko o popisanie się wersyfikacyjnym majsterswem, efekt ten uzasadniony jest treściowo: wiersz ma być chropowaty, surowy, żeby już sam jego kształt zewnętrzny dopasowany był do wizji prostej chłopki — „matuli partyzanckiej”. „Postój w Babiance” utrzymuje poeta z wy-refinowaniem na samej granicy sentymentalnego banału, bo chce tym podkreślić stan uczuciowy, jaki przeżywa żołnierz - partyzant „w antrakcie krwawej powieści”, ów nastrój chwilowego odprężenia nerwowego, błogiego spoczynku, powrotu na moment w życie zwykłe, „normalne”, gdy jednak ma się stałą świadomość, że jest to tylko chwila wytchnienia, w której znów wróci ponura rzeczywistość wojny. Tak samo zamierzony i celowy jest patos „Legendy” czy surowa prostota wiersza „Anno 1943”.

Nie ma w „Notatniku polowym” ani jednego wiersza, który by się pocie „sam napisał”, na każdym z nich znać celową, precyzyjną robotę w realizowaniu poetyckiego zamierzenia. Po lekturze rozmaitych niepełnoletnich epigonów Przybosi kłęczących niezrozumiałe wiersze z piętrzących metafor tomlk Lecea sprawa wrażenia kunsztu niemal klasycznego. Lec pokazuje jak wiele może liwości daje pocie umiejętnie operowanie rytmem, rytmem i najprostszymi figurami retorycznymi, nie wstydzi się on słów takich, jak „serce”, „marzyć”, ryzykuje nawet zwrot: „było strasznie i cudnie”. Wbrew pozorom metoda poetycka Lecea jest daleko trudniejsza niż metoda naszych najnowszyc awangardystów, bo przy jej stosowaniu nie można liczyć na efekty „niezwykłości”, „oryginalności” itp., które mogą załponować czytelnikom nie znającym pierwowzorów owej „najnowocześniejszej” poezji, bo na tej drodze, którą wybrał sobie Lec, każdy fałszywy krok oznacza stoczenie się w kompromitującą banalność.

Ze względu na poziom i jakość poetyckie-go rzemiosła „Notatnik polowy” należy polecić gorąco wszystkim poetyckim debiutantom. Wiele z tej książki mogą skorzystać. Ale to jest tylko jedna strona medalu. Trzeba trochę uwagi poświęcić i drugiej.

Wiersze Lecea wykonane są naogół bez zarzutu (nie chce się bawić w takie łapanie pcheł jak wynajdywanie poszczególnych nieudanych metafor, banalnych zwrotów itp., bo te drobne ustępki nie są w tej chwili ważne), ale brak im czegoś i to „czegoś” bardzo ważnego: obecności poetyckiego żywiołu. Te wiersze są zanadto zapiete na ostatni guzik, zanadto wykończone i precyzyjne i dlatego najlepsze nawet z nich nie stają się iskrami rozpalającymi wyobraźnię czytelnika, nie działają w sposób otwierający perspektywy, zniewalający do współtwórczości. Są osiągnięciem niewątpliwym, ale zamykającym się w pełni we własnych ramach formalnej i intelektualnej kompozycji. Jest w nich chłód, jaki odczuwamy zawsze przy zetknięciu się z taką realizacją jakiegoś dążenia, które wyczerpuje zupełnie możliwości dalszego rozwoju, zamyka je ostatecznym „amen”.

Lec nie ma zaufania do poetyckiego impulsu, przecenia on wagę narzędzia, precyzyjne samego wykonania utworu. Droga od pierwszego pomysłu, od momentu inspiracji do poetyckiego dokonania jest u niego zbyt krótka i bezpośrednia. Kształt utworu jest wyznaczony u niego samym materiałem tematycznym wiersza. Poeta bardzo jasno zdaje sobie sprawę z tego o czym chce pisać i to wystarcza mu do określenia jak należy pisać. Inspiracja poetycka ogranicza się do samego wysunięcia propozycji: poddana tematowi, później działa już tylko intelekt i techniczna sprawność dobrego majstra. Stąd skłonność do polowania na końcowy efekt, na punkt, stąd skłonność do patetycznej retoryki, mającej zastąpić poetycką wizję („Kto szedł przez Polskę czasu rzezi, — a Żydem był co z martwych powstał, — o śmierć mądżejszy, którą przeżył — gorzeć już musi jak apostoł”).

W kraju, w którym ciągle jeszcze traktuje się serio legendy o „natchnieniu”, „szczęściu”, „bezpśredniości” itp. wysokich instancjach rozgłaszających sentymentalne slowolejstwo, intelektualizm w poezji jest zjawiskiem nader miłym i cennym. Tylko że Lec narzuca swojej muzyce zbyt surową ascezę, tak gorliwie strzeże ją przed wszelkimi nieracjonalizowanymi wybuchami żywej uczuciowości, tak bezwzględnie krepuje ją rygorami prawideł czysto technicznych, że biedaczka śpiewa naogół z trudem, a czasem nawet ledwie dyszy.

Włodzimierz Słobodnik: DOM W FERGANIE, poezje, Spółka Wydawn. „Książka”, 1946, str. 30+2.

Słobodnik w poezji dwudziestolecia reprezentuje liryczne sielankopisarstwo. Subtelny

U poetów

ten liryczny (z lekką skłonnością do romantycznego melancholizowania i pretensjonalnego nieoc bawienia się słowem) stał zawsze poza kręgiem literackich wojen, jakie stawali fanatycy rozmaitych „izmów”. Poezja Słobodnika nie ma w zapleczu jakiejś specjalnej oryginalnej koncepcji sztuki, żadnego wyrazistego światopoglądu; jest ona „poezja serca”, liryczna spowiedzią z wrażeń, nastrojów, przeżyć, o wyraźnym tonie ironii, czasem zabarwioną smutkiem i goryczą, czasem zbliżającą się do niebezpiecznych granic la-twego sentymentalizmu lub kokieteryjnego werbalizmu, rozplywając się we wdzięcznej ale pustej grze słów. Tam, gdzie poeta próbował realizować modną swego czasu tzw. „poezję pracy” lub uderzać w ton społecznego burta, dawał rzeczy przeważnie martwe poetycko. Poezja Słobodnika w najlepszych swych konkretyzacjach pozostawała zawsze liryką wzruszeń jednostkowych, kartką z pamiętnika elegijnego nieco marzy-ciela. Tylko w satyrze potrafił Słobodnik wy-walczyć sobie pewien dystans do własnego „ja”, zooboy się na ton bardziej pozosobisty.

Wojna nie uczyła poecie nową tematykę i problematykę. Wypadki zapędziły go aż do Uzbekistanu. I tam właśnie, zdala od rodzinnego kraju, powstawały wiersze, które złożyły się na „Dom w Ferganie”.

W wierszach tych Słobodnik pozostał sobą nadal; jedynie ton melancholii i smutku zabrzmiał w tych wierszach silniej niż kiedykolwiek, nadając im jednolitą barwę emo-

cyjną, barwę nostalgicznej tęsknoty za krajem.

Wojna istnieje w poezji Słobodnika jako fakt a nie jako problem. Jest ona przyjęta jak przyrodniczy kataklizm, jako fakt dokonany, który należy po prostu stwierdzić. Po- też brak u Słobodnika prób przeciwstawienia się intelektualnego i psychicznego wojennej katastrofie, przeważają natomiast tony żalu, tęsknoty za ojczyzną, marzenia o utraconej ziemi szczęśliwych lat.

Słobodnik nie ma żadnych danych na Tyr-teusza. Nawet w wierszu o partyzancie „Smierć leśna” (mimo banalnego zakończenia najlepszym chyba w książce) wpada w ton żalobnej elegii:

Kula świsnęła, serce przeszyla.
Puszcza to twoja leśna mogiła,
Ciemnozielona i gałęziasta,
Sercu wiernemu ostatnia przystań.

Krąg rozwojowy poezji Słobodnika jest zamknięty. Może się ona rozwijać i doskonalić w obrębie dotychczasowych swoich granic, ale nie wydaje się prawdopodobne, by mogły w niej zjawiać się jakieś elementy zdecydowanie nowe, skoro nie wprowadziła ich nawet wojna ani paroletni pobyt na obczyźnie.

Zbiorek Słobodnika nie jest stanowczo rewelacją, jest natomiast książką o niewątpliwej kulturze poetyckiej, bezpretensjonalną i sympatyczną.

Stefan Lichanski

W sprawie poezji nad trumną Witosa

W 1-y m numerze „Wsi i państwa” prof. Stanisław Pigoń poświęca specjalny artykuł zagadnieniu „Poezji nad trumną Wincentego Witosa”. Dzielać utwory poetyckie na grupy, według ich charakteru, czy elementów literackich, wyodrębnić też autor wiersze, posługujące się chwytem konstrukcyjnym, zasadzającym się na włączeniu między uczestników pochodzącego żalobnego zjawiska przyrody: kwiaty, zboża, krzewy krocza za trumną.

„Otoż nie sposób dostrzec — pisze prof. Pigoń, — że i w ostatniej potrzebie niektórzy z poetów zastosowali ten chwyt także do pogrzebu Witosa, na nim oparli żrąb swej wizji, nie rozprowadzając go wszelako w szerszej zakrojony i konsekwentnie zwarty obraz (Frasik), nawet nie umiając się ustrzec anachronicznych konwencjonalizmów („biała mgia jaśminów” w listopadzie!)”.

Idzie tu o wiersz J. A. Frasika „Pochód sztandarów (Elegia na śmierć W. Witosa)”, drukowany w Nr. 17 „Wsi” (18 listopad

1945 r.). Fragment o którym mówi prof. Pigoń, wygląda tak:

Wyszły liście osik naprzeciw
Oziminy wyrzwały z podorywek:
Wierzby, drżące, jak dzieci,
Zapłakały listkami siwe.

A tu za nim żołnierze, a tu za nim pieśń robotnicza,
a za nim pióra pawie — Polska szeroko- polna!
Nie pogrzeb to. Nie jesienny marsz. Nie polski zwyciężaj.
To tylko Ojczyzna żegna Wielkiego Syna,
Wolna!

Ani w tym wyjątku, ani w pozostałych częściach wiersza nie zawiera wyrażenia „biała mgia jaśminów”; niewątpliwie więc połączenie tego niefortunnego zwrotu z wierszem Frasika, u nas drukowanym, jest rezultatem pomyłki Szan. Autora artykułu. z. k.

List do Redakcji

W artykule „Podsumowanie dyskusji o gwarze”, ogłoszonym na łamach „Wsi” (Nr 15-16) Kazimierz Budzyk zajął się bliżej moją notatką „O literaturze gwarowej” (Wieś Nr 1). W artykule swym Kazimierz Budzyk m. in. pisze: „Artur Sandauer uważa dialekty ludowe za zepsutą odmianę języka literackiego, przekraczanie normalnego języka i pisowni”. „Chłop prawdziwy — czytamy w artykule Sandauera — stara się wyżyć, jeśli może błędów swej pisowni; nasi zaś poeci, którzy są oczywiście inteligentami z wykształcenia, starają się przyswoić sobie tych błędów jak najwięcej”. Tego rodzaju poglądy dobre w uczoności jeszcze księdza Baki zostały u nas przezwyciężone już z początkiem XIX w. A przecież dobiegamy obecnie połowy XX wieku i doprawdy wstyd trochę publicznie i w druku poważnie się takim opiniom przeciwstawiać, zwłaszcza, jeśli pochodzą od krytyków literackich, od ludzi „uczonych w piśmie”.

W inkriminywanym ustępie mego artykułu „O literaturze gwarowej” pisałem dosłownie: „Prozaicy, ba nawet poeci chłopscy nie tylko, że wprowadzają do swych utworów wyrażenia gwarowe, ale — co więcej — normalnym polskim słowem nadają kształt jak najbardziej odmienny od literackiego. Poeta Paweł Kubisz uważa widocznie, że byłoby kompromitacją

dla jego ludowości, gdyby — zamiast „stojmy” — pisał „stoję”, a zamiast „pod mokrą wargą” — „pod mokrą wargóm” — „pod mokrą wargą”. Warto by się zastanowić, czemu lub komu ma służyć to przekraczanie normalnego języka i pisowni? Publiczności chłopskiej? Wątpię, aby chłop — chociażby z tego samego powiatu, co Kubisz — wiejąc zrozumiał „stojmy” niż „stoję”. Dla mieszkającego zaś drugiego powiatu, gdzie mówią na przykład „stoję”, słowo „stojmy” będzie już zupełną zagadką. A może używając gwary, poeta chce wywołać wrażenie w czytelniku, że poezja jego jest rdzenna i ludowa? Lecz taka robiona z rozmysłem, poezja chłopska — pozostanie zawsze tworem sztucznym. Chłop prawdziwy stara się wyżyć, jeśli może, błędów w swej pisowni; nasi zaś poeci, którzy są oczywiście inteligentami z wykształcenia, starają się sobie przyswoić tych błędów jak najwięcej”.

Jak wynika z powyższego, nie twierdzą bynajmniej, jakoby dialekty ludowe były zepsutą odmianą języka literackiego — jak mi imponuje p. Budzyk — lecz „edynie, że pisarze, którzy język literacki doskonale znają, stosują gwary w sposób sztuczny. Co innego — nie znać innego języka prócz narzecza, a co innego — rozmyślnie do niego powracać.

Artur Sandauer.

Zebranie Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Lit. Polskich

W dniach 25 i 26 maja br. odbędzie się w Warszawie zebranie Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Lit. Polskich, na które przybędą pisarze chłopscy całej Polski.

W programie zebrania jest prócz wyboru stałych władz Oddziału szereg spraw bieżących o dużym znaczeniu.

Koszty przejazdu członkom i kandydatom będą zwrócone, wyżywienie w ciągu dwóch dni zapewnione. Uznani zostali za członków Oddziału następujący pisarze: Burek Wincenty, Frasik Józef Andrzej, Król Jan Aleksander, Kubicki Marian, Kubiniec-Nedza Stanisław, Michalski-Ozga Józef, Mor-toni Józef, Olcha Antoni, Ozóg Jan Bolesław, Mileczarek Władysław, Piętał Stanisław, Pleśniarowicz Jerzy, Skoneczny Stanisław i

Wiktor Jan — za członków kandydatów Bińczak Józef, Bojar Józef, Goździkiewicz Teodor, Gębala Stanisław Stefan, Jakubczyk Henryk, Jażdżyński Wiesław, Jucha Stanisław, Kirko-Nowaczyk St., Kafel Mieczysław, Labuz Józef, Marzec Edward, Papier Tadeusz, Pociek Jan, Pogan Józef, Pokora Leon, Sierp Zygmunt, Sobieszek Janina, Urban Jan, Wrona Edward, Ziarnik Piotr Stanisław, Czuła Maciej, Kamińska Anna, Greniuk Piotr i Bartelski Lesław.

Tylko tym pisarzom przysługiwać będzie prawo głosu i inne uprawnienia, jak zwrot kosztów, inni pisarze mogą uczestniczyć w Zebraniu tylko jako goście.

Zarząd Oddziału Wiejskiego Związku Zawod. Liter. Polskich

Leon Schiller o teatrze masowym

Leon Schiller, znakomity polski reżyser, twórca polskiego teatru monumentalnego, inscenizator arcydzieł naszej romantycznej literatury, wygłosił w Centralnej Szkole PPR w Łodzi, na zaproszenie kierownictwa szkoły, odczyt dla słuchaczy i gości. Ponieważ referat Schillera miał za treść historyczny rozwój i dzisiejszą ideologię teatru masowego, podajemy tutaj streszczenie niektórych części odczytu, ważnych dla wszystkich interesujących się współczesnym teatrem ludowym.

CO TO JEST TEATR DLA MAS?

Teatr masowy przeznaczony jest dla najszerszych odbiorców ludowych; w naszych czasach dla robotników i chłopów. Przeciwnieństwem tego teatru zarówno z samego założenia, jak również z ideologii, która służy innym klasowym interesom, — jest teatr burżuazyjny. Mamy w niedawnej historii przykłady takiego teatru, np. festiwale operowe w Salzburgu, oglądane przez przedstawicieli międzynarodowej finansjery i bogatego mieszczaństwa, czy teatr założony przez Wagnera w Bayreuth, poświęcony inscenizacji jego oper, czy teatr w Oberammergau, dający przedstawienia pasyjne (Męki Pańskiej), na które jeżdżali z całego świata bogaci turyści. Są to teatry zamknięte, elitarne, dostępne dla wybranych grup. Pierwsze próby teatru przeznaczonego dla ludu traktowały robotnika jako biernego odbiorcę, jak dziecko, infantyliźowały go. Charakterystyczne wydarzenia trafiło się jednemu z pierwszych entuzjastów i propagatorów sceny ludowej, Francuzowi Romanowi Rollandowi, który raz w teatrze rozmawiał z zapalem o „teatrze ludowym”. Robotnik, który był przypadkowym świadkiem rozmowy, obrócił się z niecierpliwością i powiedział: „Peuple toi-meme”, „Sam jesteś tym ludem o którym tyle gadasz”. Robotnik, chłop, nie chcą specjalnego, uproszczonego dla nich teatru, a domagają się prawa korzystania z dorobku kultury międzynarodowej, chcą właśnie teatru mieszczańskiego, burżuazyjnego. Dążenie to jest w zasadzie słuszne; czy jednak taki teatr potrzebny jest klasie pracującej? czy powinna go ona dziedziścić? Z pewnością nie, powinien to być teatr inny, nowy, — ale jaki? Czy narodził się on już? Czy jest przynajmniej myśliciel lub artysta, któryby go widział, szkicował? Odpowiedź wypada negatywnie: nie wiemy czego żądać od teatru, nie umiemy stawiać teatrowi wymagań, zadawaliśmy się byle czym, tym co nam on siłą przyzwyczajenia przynosi. Teatr współczesny nie dorósł do swojej roli, nie jest w stanie dać obrazu naszych czasów, nie spełnia wymagań jakie stawiał mu Szekspir, gdy mówił że zadaniem teatru jest „być zwierciadłem natury, pokazywać swojej epoce jej postać i jej piętno, złości żywy jej obraz, nocnie wieme jej odbicie”.

ROZMAITE FORMY TEATRALNE

By zdać sobie sprawę z możliwości, stojących przed współczesnym teatrem masowym, wypada przejrzeć rozmaite formy teatru w jego historycznym rozwoju. Uderza mnogość gatunków widowisk teatralnych, przy czym można wskazać odpowiedniki owych gatunków we wszystkich epokach. Są więc teatry poetyckie, religijne, świeckie; jest teatr „czysty” zmierzający do eliminacji możliwie doskonałej elementów nie będących widowiskiem, spektaklem, składnikiem scenicznym. Jego przeciwnieństwem, to teatr słowa, gdzie zamieňuje się stroną widowiskowa, a dba przede wszystkim o nieskazitelność deklamacji. Teatr w swych źródłach objawia się jako zasadnicza forma życia społecznego. Instynkt teatralny istnieje u zwierząt; przyrodnicy opisują walkę kogutów w dżungli, bezkrwawa, niewątpliwie „udana”, której przygląda się zwarty krąg plectwa. Nauka biologii podaje fakty „tańca ptaków”. W życiu ludzkim natopikamy dziesiątki składników teatrotwórczych: zbiegowisko, sąd, parlament, woisko... Historia sztuki teatralnej zajmuje się dawną batalistyką, z jej wystąpieniami wodzów, maskami, przyłbicami, skrzydłami husarskimi. Obrzędy kościelne zawierają całe teksty dramatyczne, dialogi i sceny, podobnie zwyczaj karnawałowe i ludowe; wszystkie te fakty dowodzą, że teatr jest spontaniczną formą życia społecznego.

Bliższa analiza dzieł teatru wykazuje, że każdy z licznych rodzajów teatralnych powstał w PEWNYCH WARUNKACH, był produktem sytuacji historycznej, pozostawał w czyjejś służbie klasowej. U źródeł teatru odnajdujemy interes; były więc tańce erotyczne, mające na celu zdobycie przedstawiciela płci przeciwnej popisem zręczności cielesnej, taci-cie wojenne, służące ćwiczeniu zawziętości, podniecaniu się do walki. Religijne pochodzenie teatru, — co wysuwano jako hipotezę, — nie wyłącza prozaicznego interesu. Teatr „magiczny” miał wywołać skutki konkretne; np. bicie w bębny i naśladowanie strug deszczu ruchami rąk miało spowodować ulewę. Teatr świąteczny zwolna przekształcał się w świecki, oparty jeszcze na motywach religijnych; tak było z teatrem egipskim, chińskim, japońskim, wreszcie z najważniejszym dla nas teatrem greckim.

W dalszym rozwoju teatru na terenie europejskim wyróżniamy wyraźnie dwa przeciwstawne sobie nurty: idealistyczny i realistyczny. Z dalekiej przytoczonych przykładów wynika, że realizm związany był z postępowym klasowym, wytwarzał się gdy grupy społeczne prowadziły walkę o swoje miejsce; idealizm zaś, to sztuka klasy zwycięskiej, która innym usiłując narzucić swój światopogląd, oderwać resztę społeczeństwa, niedopuszczoną do władzy, od rzeczywistości, a przenieść jej wyobrażenie na mniej groźną dziedzinę marzenia, poezji, symbolu. Obydwa te nurty wyróżniamy już w teatrze średniowiecznym; początkowo był on sakralny, obrzędowy, uroczysty, potem zaś wchłoniął ludowe scenki realistyczne, które rozwinęły się, w świeckim języku, z tekstu wielkanocnego, olejkarz sprządał niewiastom idącym do grobu olejki, przy czym targuje się w komiczny sposób. Następny etap dzieł teatru, to dwory królewskie i magnackie, wystawiające znowu utwory nierealistyczne, muzyczne, poza życiem; opery, patetyczne tragedie. Ale nowo budząca się klasa mieszczańska tworzy walczący teatr realistyczny, w okresie Wielkiej Rewolucji. Romantyzm jest dla nas ciekawym i pouczającym przykładem, dowodzącym, że schemat, łączący sztukę „idealistyczną” z nastawieniem elitarnym, a „realistyczną” z postępowym i walką klasową, nie zawsze jest słuszny. Romantycy byli bardziej rewolucyjni, niż realisci mieszczańscy W-kiej Rewolucji. U romantyków codzienne życie ludowe przenika na scenę, rozbrzmiewająca sympatią dla klas upośledzonych. I oto staje się tak, że idealistyczny, antyrealistyczny romantyzm więcej niesie siły rewolucyjnej, wyraża się w inny, wymowniejszy społecznie sposób, niż mieszczańskie realizm.

Zresztą teatr mieszczański, po zwycięskiej Rewolucji, zaczął dążyć do monumentalności i odszedł od realizmu. Wagner odbudowuje teatr — świątynie, powstaje Oberammergau, Reinhardt w berlińskim cyrku wystawia operetki, w sali mieszczącej 5000 ludzi.

Realizm zwycięża znowu w masowym teatrze w ZSRR po rewolucji. Rewolucyjna rzeczywistość radziecka wkracza na scenę w reportażach scenicznych, powstaje literatura faktograficzna, zupełnie nowy gatunek dramatu, doskonały pomimo założeń utylitarnych, użytecznych. Teatr ten bogaty jest w prąd, łączy rozmaite kierunki: realizm socjalistyczny i romantyzm socjalistyczny, z Rosji pochodzi ekspresjonizm, wypowiedzący w patetycznej formie teatralnej, z pomocą kinowych niemal środków, problemy współczesnego życia, i neo-realist, nawiązujący do rzeczywistości, do prawdy życia codziennego, jednak ujętej w ramy artystycznej równowagi; w Rosji wreszcie tworzy Piscator swój wielki teatr polityczny.

Wpływy te były jednak na terenie Europy niepełne. Bo nie można stworzyć teatru proletariackiego podczas panowania mieszczaństwa! Na nic się zdały wysiłki niemieckiego teatru robotniczego po W-kiej Wojnie, robotnik nie miał groszy nawet na scenie utrzymywaną przez Związek Zawodowy, jaką próbowali organizować socjaliści niemieccy. Zdobycze rewolucyjnego teatru rosyjskiego przyjęły się w Europie tylko jako nietrwale chwyt estetyczne, nowe pomysły inscenizacyjne, dekoracyjne, reżyserskie.

TEATR W POLSCE

Elementy ludowe wykrywamy w dziejach sceny polskiej już u jej źródeł. Będzie to beznamienna twórczość chłopiska, Gody weselne, obrzędy. Ludowy charakter ma także twórczość mieszczańska (klasa panująca była wtedy szlachta) w XVI stuleciu, t. zw. komedia rybałtowska, której autorami byli nauçyciele ludowi, czy klerycy (rybaltci), dający w owych sztukach satyryczny obraz bóla-czek społecznych i codziennego życia. Wreszcie Bogusławski tworzy, u schyłku XVIII w., polityczny teatr dla mas, przesiąknięty atmosfera powstania Kościuszkowskiego. Myśl demokratyczna, krytyka klasy panującej krzewi się u Mickiewicza, Słowackiego, nawet Krasińskiego, („Nieboska komedia”). Podchwytuje ten ton Wyspiański w „Wyzwoleniu” (mimo też które możnaby nazwać „faszystowskimi”), Zeromski w „Róży”, „Turynie” i in. Temu prądowi przeciwstawia się teatr antyludowy, mimo pozorów „ludowych”; twórczość Anczyca jest pewnego typu oszustwem. Pisząc dla sceny ludowej, wyśmiewa Anczyca dążenia emancypacyjne chłopskie („Błądek opętany”), kpi z chłopów wyjeżdżających do Ameryki, czy chłopów-polityków w sejmie („Chłopi arystokracji”).

Jedyną próbą stworzenia teatru masowego o współczesnych ambicjach artystycznych był „Teatr im. Bogusławskiego”, założony po W-kiej Wojnie w Warszawie (kierownikiem jego był właśnie L. Schiller). Próbował on polaczyć rewolucję estetyczną z oświeczeniem sceny proletariackiej, dla której przeznaczano nowe, eksperymentalne pod względem formy inscenizacji „Kniazia Pątomkina”, Miczińskiego, „Nieboskie” i in. Kierownictwu udało się zetknąć z konsumentami w ramach

dyskusyjnych; gdy wreszcie Rada miejska teatr zamknęła, zaprotestowały przeciwko temu, — na próżno zresztą, — Związki zawodowe.

Były jeszcze potem próby teatru politycznego: „Ciankali”, „Krzyżycie Chiny” (w Teatrze Ateneum), ale rychło wygasły; rozsiadł się bez protestu teatr burżuazyjny, bezideowy, zabawowy, rewiowy, bez oblicza i bez programu.

DZISIEJSZA SYTUACJA TEATRU

Teatr dzisiejszy wciąż jeszcze nie jest zwierciadłem nowej rzeczywistości. Nie ma on wpływu na masę, nie troszczy się o nią, i zadawała się bylejaką publicznością, przypadkowymi widzami. Nie bierze on udziału w budowie nowej sytuacji, pozostaje w tyle za literaturą i prasą, które czynią wysiłki, by dorównać nowym zadaniom. Radykalna reforma teatru jest koniecznością. Teatr współczesny nie potrafi odpowiedzieć, dla kogo pracuje, jaką ma ideę przewodnią, i czy spełnia choćby minimalnie nakreślone zadania. Dzieje się to w epoce wielkiego rozruchu z faszyzmem, w epoce antydemokratycznej znowy i narastającej wrogości przeciw rządowi ludowym.

Repertuar teatrów jest przypadkowy, nieumotywowany i nieodpowiednio podany. Np. teatr łódzki: „Fantazy” Słowackiego jest trudny, wymaga komentarzy, jest to zresztą utwór przez swoją formę i treść dalszy od współczesnej rzeczywistości, niż inne godne wystawienia dzieła Słowackiego. „Pan Jewalski” nie może dziś być wystawiany jako sielanka, z usmiechem elementu satyry społecznej. Podobnie przedstawienie „Wesela Figara”, zresztą teatralnie na wysokim poziomie, przecież wysuwało momenty zabawowe na plan pierwszy, rewolucjonizm wyparował. Wszystkie te utwory wymagają wstępu, odczytu, ulotki, dyskusji, zanim wprowadzone będą na scenę masową. Nie może artysta teatru współczesnego trwać na piedestale nieco zarozumiałej inteligentki samotności. Repertuar musi być organizowany na innej zasadzie: musi być wystawiana literatura dramatyczna współczesna, jakkolwiek jest niewygodna; wiele winy leży po stronie krytyki teatralnej, która nie jest zdolna rozwinąć żadnego problemu. (Schiller podkreślił jednak, że ten stan rzeczy nie plynie ze złej woli teatru, i zaznaczył, że czuli się związani ze sceną łódzką, która przygarniała go w okresach, gdy musiał uchodzić z Warszawy, tępiący za swoje społeczne poglądy).

Podobnie przypadkowy repertuar panuje na innych scenach: najstarszy utwór Słowackiego, ciepłocienista Lilla Weneda, znalazła się na deskach Teatru Państwowego w Warszawie. Teatr TUR-u w Krakowie grał... „Ostrożnie, świeżo malowane!” Adwentowicz wznowił „Ojca” Strindberga, dzieło epoki modernizmu, utwór wypowiedzący „myzogynizm”, tj. biologiczną, fatalną, mistyczną nienawiść do kobiety; rzecz nader niefortunna w czasach, gdy kobieta zajmuje obok mężczyzny równe miejsce w pracy i odbudowie. Sztuka „Zamach”, grana w Krakowie, ukazuje stosunki pod okupacją w atmosferze kawiamianej, niefrasobliwej, pogodnej, — prawie, że budzącej zapytanie, co tu szkodzi Niemcy? Sztuka Wasiliewskiej „Bartosz Głowacki” również jest nie na czasie, i prawdopodobnie sama autorka nie przystałaby dziś na wystawienie tego utworu. Postać Kościuszki jest zbagatelizowana, zaś Bartosz w finale oświadcza, że nie chce mieć z legionami nic wspólnego: „Ja sobie pójdę swoją drogą”; są to tony niewczesne w okresie ludwie ukończonej wojny narodowej. W repertuarze powojennym kwitnie Zapolska, bo jest łatwa do zagrania, ale teatr nie żywi chęci by pokazać sens społeczny tej autorki, którym jest upadek mieszczaństwa.

NOWY TEATR MASOWY

W tych warunkach konieczną jest nowa polityka teatralna, mobilizująca siły do świeżych zadań społecznych. Głos muszą zabrać odbiorcy teatralni, wypowiedzieć się musi widz ludowy i proletariacki, na temat swoich życzeń i dążeń w dziedzinie teatru. Teatr musi postarać się o współpracę literatów. Tworzy się Rada Teatralna przy Ministerstwie Kultury i Sztuki; zadaniem jej będzie, obok reformy szkolnictwa teatralnego, unormowanie społecznej i artystycznej polityki teatrów polskich. W Warszawie zostanie prawdopodobnie założona scena dla mas, która zarazem będzie warsztatem doświadczalnym nowej sztuki. Będzie ona traktowana zarazem jako wielka szkoła wychowania społecznego, operować będzie nie tylko teatrem, a także odczytem, dyskusją, seansem kinowym. Literatura dramatyczna czasów przeszłych będzie tu poddana rewizji, zainscenizowane też zostaną wielkie arcydzieła naszej romantycznej literatury: „Kordian”, „Dziady”, „Nieboska”. Specjalny nacisk położą organizatorowie teatru na cykl faktomontaży teatralnych, złożony z dwunastu wielkich widowisk, które wprowadzą na scenę dzieje polskiej demokracji, począwszy od czasów

Kościuszkowskich. Cykl ten będzie opracowany przy współudziale polskich literatów; stworzy on wzory nowych treści i nowych form teatru masowego, które następnie, jako przykładowe, będą mogły być rozpracowywane przez inne sceny polskie, zawodowe i ludowe.

(z.k.)

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK URODZONY W ŻDŹBLE

poezje

Kraków 1946

Cena 100 zł.

PAWEŁ KUBISZ

PRZEDNÓWEK

poezje

Łódź 1946

Cena 90 zł

Nakładem Oddziału Wiejskiego
Związku Zawodowego Literatów
Polskich

W OSTATNIM (18—19/46—47) NUMERZE „WSI”:

Adam Polańczyk — Przed i po zwycięstwie; Kachna Łęczynianka — Lesiowska — Bracie, Fabryczne dymy, Luny; Zygmunt Kalużyński — Władysław Broniewski i poeci chłopscy; Władysław Broniewski — Kolumba wierszy — Łódź, Co mi tam troski, Elegia na śmierć Waryńskiego, No pasaran, Cześć i dynamit, Zagłębienie Dąbrowskie, Mann Heher; Stefan Lichanski — Przechadzka po manowcach; Adolf Kotarba — Powstanie Górnolaskie; Maciej Czuła — Z włóczęgi po krajach Europy; Zdzisław Skwarczyński — Z przeszłości; Stanisław Pięta — Strajk fornalni; Leonard Sobierański — Mylny drogwoskazy; Ze społecznej poezji słowiańskiej: (w przekładach Zdzisława Jerzego Kempia, Stanisława Papierkowskiego, Seweryna Polaka, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Antoniego Kolankowskiego i Antoniego Bro-sza); Czechy — Cassius; Wtedy i tam; Jarosław Seifert — Ziemia ubogich; Białorus — Maksim Tank — Cisnę z tegich ramion...; Jugosławia — J. Mamuzic — Oraczewi; Mil. M. Milenkowicz; Wieśniak; Rosja — Mikołaj Niekrasow; Zagon niezłoty; Siergiej Jesienin; Krowa; Bułgaria — Lamar: Zima, Chajduti; Słowacja — Rudolf Dilong: Przed wyjazdem; Franciszek Herczo: Nad matką; Stefan Baścik — Chłopka młodzień akademi-cka; Teodor Goździkiewicz — Wyżnka; Z. K. — Konkurs na ludowy utwór sceniczny oraz noty i ogłoszenia. 3 ilustracje, 12 stron.

PRENUMERATA „WSI” WYNOŚI:

zł. 25 miesięcznie; zł. 75 kwartalnie; zł. 150 półrocznie. Prenumeratę przyjmują: w Łodzi: Redakcja tyg. „Wiś”, Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98; Dzielną prenumerat „Czytelnika”, Łódź, ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74; Księgarnia „Czytelnika”, Łódź, Piotrkowska 96, tel. 126-04; Księgarnia „Czytelnika”, Łódź, ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65. Na prowincji: Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddział w Łodzi Nr 815 — Kolportaż „Czytelnika” (z zaznaczeniem: na „Wiś”).

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. Komitet redakcyjny: Kalużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olscha Antoni, Pięta Stanisław. Komitet terenowy: Frasiak Józef, Nedza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wiś”, Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr 2, Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2. D-012030